Nr. 5. Lwów, 3. czerwca 1882. Rocznik IV.

STRAŻNICA POLSKA

DWUTYGODNIK
POLITYCZNO-EKONOMICZNO-SPOŁECZNY.

WYCHODZI CO DRUGĄ SOBOTĘ.

Numer pojedyńczy kosztuje 12 centów.

REDAKCYA ulica Trybunalska Nr. 1.
ADMINISTRACYA Rynek liczba 9.
EKSPEDYCYA główna Rynek, l. 9 i w Trafice (Hotel Żorża), róg placu Maryackiego i ulicy Krętej.
W Krakowie: w Trafice F. A. Grigara Rynek, l. 39.

PRZEDPŁATA
na „Sztandar polski" i „Strażnicę polską" kosztuje kwartalnie:
we Lwowie (bez przesyłki) 1 zł. 50 ct.
na prowincyi . . . . . 1 „ 75 „
za granicą . . . . . 2 „ — „
Inseraty od wiersza (petit.) 5 ct.

W teoryi raj a w praktyce piekło.

Nasze ideały są piękne i podniosłe. Ktoby je znał i z nich sądził o nas i mierzył liczbą prawd wypowiedzianych przez poetów, gotówby nas poczytać za społeczeństwo wzorowe. W teoryi w istocie jesteśmy jakąś całością. W zasadzie przyznają się prawie wszyscy do wszystkiego, co najszlachetniejsze. Dosyć policzyć niektóre tylko zdania, które brzmią pięknie, żeby uwieść prostaczków i łatwowiernych. A jest tych zdań moc niezliczona, i są one nadużywane niemiłosiernie.

Policzmy się.

Codziennym pacierzem ludzi publicznych jest: Dla dobra kraju. To jak chleb powszedni, jeszcze przecie nie spowszedniało, bo w pospólstwie, w ludzie, w klasie średniej jest głęboka poczciwość. Tę g ł ę b o k ą poczciwość nadużywają niezmiernie płytkie umysły.

Więc powierzchowność, płytkość posiada takie zdolności? zapytacie. Jest to powierzchowność w rzeczach publicznych — politycznych i społecznych, ekonomicznych i moralnych. Te same umysły tak niedołężne w sprawach dobra ogólnego, dość przebiegłe i przewrotne, żeby umieć zgłębić swój osobisty interes. Miarą na sprawy publiczne jest miara ich chciwości, niekiedy próżności, ambicyi, łaski pańskiej lub protekcyi. Ile za te rzeczy zyskać można, tyle obsłonek sporządza się na pokrycie rzeczywistych interesów społeczeństwa.

Dodajmy jeszcze kilka pięknych, nowoczesnych, wolnomyślnych, postępowych a mydlących oczy zdań.

Brzmią one tak: Dla dobra ludu — dla zrobienia go człowiekiem i obywatelem — dla poparcia przemysłu krajowego — dla złożenia dowodu, że w sprawach żywotnych umiemy żyć solidarni, dla złożenia dowodu, że jesteśmy narodem żywym dla udowodnienia, że lud kochamy, że nam jego dobro na sercu leży, że pójdzie za nami itd. itp.

Często kończy się to wszystko wezbranem uczuciem i uczczeniem zawsze tego ludu i tych klas niższych, które ciężko pracują a są trapione uciskiem stosunków ekonomicznych. Wezbrane uczucie dyktuje wtedy następującą apoteozę: O jakiż to poczciwy ten nasz lud, mimo, że bałamucony, że ciemny, ubogi, niezdarny, wyzyskiwany a jednak zawsze potulny, gorąco przywiązany do gleby rodzinnej. A! zaprawdę, nie masz drugiego takiego pod słońcem.

— I powiedziałbym panu dobrodziejowi, że ten lud na Rusi bodaj czy nie poczciwszy od Mazurów. Cichy i pokorny.

Tak przy sposobności każdej prawie apoteozy w charakterze powyższej, zakonkluduje ktoś z mości dobrodziejów w towarzystwie panów lub półpanków.

O! bo my mamy poczucie dla piękna i talent do — pochlebstwa. Ale to tylko dla zbiorowych rzeczy. Nam trzeba pół miliona korców szlachetności i miliard korców biedy, potulności i pokory, ażeby przyznać, że te miliardy cnót, poniżeń i łez narodu są — piękne.

I tylko piękne? Ale jakie tam boleści targają serca aktorów w tej tragedyi życia — cóż to obchodzi widzów, którzy się przyznają do synowstwa tego ludu. Pięknie umierają, bez szemrania znoszą fatum, mogą być dumą naszą. To wielki widok i piękny.

Więc piękny — mówicie panowie — i uznajecie tę piękność i tę szlachetność i wielkość dusz, i dobroć serc w prostactwie? Tyle poczucia w widzach! Europa zawstydzona — ona nie ma tylu znawców, ilu ich posiada ta ziemia, w której od święta brzmi od końca do końca: Kochajmy się, a w dnie powszednie również z końca w koniec: Ta chata na sprzedaż, ten folwark na licytacyę — tyle i tyle, kto da więcej?! Kiedy nikt więcej dać nie może, przechodzi ziemia w ręce tych, którzy mogą dać zawsze mało, ale zawsze mogą, których pięknem, Bogiem, prawdą i wiarą, ideałem i celem, złoty cielec.

I znowu podziwiamy podniosłość dusz wydziedziczonych prostaków, którzy tak ukochali swą ziemię, że się zaprzęgają na swojej dawnej grzędzie i pracują dla obcych jak woły juczne, byle zostać w stronie rodzinnej. Jest co podziwiać, nie prawdaż?

My też mamy oczy otwarte na piękno! Cześć wam wielbiciele tak żywego piękna. A jakże, cześć wam, uprzejmość za uprzejmość, uznanie za uznanie. I sądzicie zapewne, żeście się wywiązali z obowiązków obywateli pracujących nad dobrem kraju. Pozwólcie nam mieć inne przekonanie o tej pracy i tych obowiązkach. Jest to jedyna pociecha, którą nam zastrzegają prawa legalne, że wolno mieć inne przekonanie. Tej legalnej pociechy nie odbierzecie ludziom, którzy widzą waszą przewrotność. Innych pociech, jak braterstwa ludzkiego, uprzejmości towarzyskiej — niepodobna żądać. Tego nie zastrzegają żadne prawa, nie normują żadne ustawy. To się zdarza tylko wtedy, kiedy chcecie udawać, że jesteście częścią składową narodu.

Bo w innych wypadkach — no — to co innego. Gdyby tak naprzykład kanalia uliczna zaproszona na jaki koncert domowy, zażądała prostej gościnności w domu karmazyna i nie przyjęła herbatki, podanej gdzieś w dziesiątym pokoju na szarym końcu — to cóż wtedy?

Jakież to pretensye ma ten proletaryat inteligencyi — nieprawdaż?

Czy ten proletaryat jest częścią składową i rdzenną narodu? — Nie — w umysłach ludzi herbowych choćby o podrobionych tarczach, zawsze lalki tylko reprezentują naród.

Tak się dzieje i myśli w sferach, rzekomo arystokratycznych. Widocznie zatem, że drogi tych sfer i podsferza, a drogi rzeczywistego narodu, rozeszły się w dwóch przeciwnych kierunkach.

Dla demokracyi naród, to wszyscy obywatele a rdzenną częścią obywatelstwa, to lud, a jego braćmi najbliższymi to potulne równie mieszczaństwo małe i wielkie.

Tymczasem lada dorobkowicz na wioszczynie nie uznaje swego oficyalisty za człowieka, za obywatela, a włościanina cierpi jako zło konieczne, które Bóg stworzył na utrapienie wybranych na ziemi. U dorobkowiczów, jak u szlachty i jasnych panów taka sama noc w głowach, jak u tych zdrajców, którzy gotowi byli kamienować Andrzeja Zamojskiego, gdy za Stanisława Augusta podał projekt praw żądających wzięcia pod opiekę włościanina.

I dziwić się tu owym zaślepionym sejmikowiczom, którzy wrzeszczeli: n i e p o z w a l a m, gdy

SEN POWSTAŃCA.

Noc po nad ziemią styczniowa, skrząca,
Pomiata Sybiru tchnieniem —
Na niebie blada tarcza miesiąca
Z chmur grubych walczyła cieniem;
Wśród starych borów, gdzie wichr szaleje,
W żałobne rozgrzmiewa pienia —
W pół niedogasłe ognisko tleje,
Dymiąc ostatkiem płomienia...
Przy niem, pod dębem kilkowiekowym,
Na zimnem posłaniu śniegów
Zamarzył młodzian, snem gorączkowym —
Towarzysz polskich szeregów!
Wiatr mu rozwiewa włosy zburzone
Na bladem, wyniosłem czole —
Po niem, jak chmury wichrem pędzone
Szybko mkną myśli sokole;
Myśli gorące, marzenia senne
I blade gwiazdy wspomnienia
Plączą się, wiążą w tęcze promienne,
To znów w koronę cierpienia. —
I przypomina... jak w wiek dziecinny
Z dziatwy wyrywał się koła —
I starca dziadka o kraj rodzinny
Pytał — z zadumą u czoła...
I jak ów starzec mową natchnioną
Przeszłości kreślił mu dzieje,
Patrząc z radością — jak oczy płoną,
Jak lice chłopca blednieje.
Jak starą dziadka on karabelę
Ze czcią do ust swych przyciskał —
I jak gorące łzy mu w kościele
Spiew narodowy wyciskał!
Później, gdy rosnąc w młodzieńcze lata
Nabywał wiedzy i siły,
I patrzył długo w krwawy tron kata
Co gniótł pierś świętej mogiły! —
Kiedy w niewoli łzach pogrążony
Obaczył naród swój cały —
To pierś rozrzynał mu ból szalony,
A w sercu ognie kipiały.
Lecz że dla biednej polskiej krainy,
W sromotnym skutej łańcuchu,
Nie uderzyły jeszcze godziny
Długiej rozpaczy wybuchu. —
Więc pióro w drżące pochwycił dłonie
W krwi swego serca zbroczone —
I niem wylewał ból skryty w łonie
W pieśni gorące — natchnione!
Bo pieśń balsamem gdy najboleśniej
Ojczyzny jątrzą się rany —
Ona oddźwiękiem tej wielkiej pieśni
W głębi dusz naszych śpiewanej;
Ona, jedynym odgłosem życia,
Gdy ucisk pierś nam ostudzi —
Przyspiesza serca zamarłe bicia
I zgasły zapał w niem budzi! —
Wkrótce też brzmiała poety sława
W bijącem młodzieży łonie,
Jak owa skryta płomienna lawa,
Co w wnętrzu wulkanów płonie...
Aż głos powszechny rozgrzmiał: „do broni!"
Łamiąc zapory ostatnie
On pieśni rzucił... i z szablą w dłoni
Pospieszył w szeregi bratnie.
I wielką chwilę tę przypomina —
Gdy mu na czoło upadła

przed wiekiem blisko światli i uczciwi obywatele, dbali nie o interes kasty, ale o dobro narodu i ludu wnosili w ustawie rządowej te słowa: „Chłopów-włościan przyjmujemy pod opiekę prawa i rządu krajowego“.

Trudno się dziwić, jeżeli dziś w czynach tak ciemno, jak było ongi w głowach zaślepionych. Dziś, nie przed stu laty spotykamy ludzi, którzy włościan, małomieszczan i w ogóle lud traktują jak swoich niewolników. Nie mogąc dokuczyć inaczej używają wyrazów obelżywych, pomiędzy którymi najłagodniejszy jeszcze, który tu powtórzyć można, to gałganie, łotrze, itd. Odzywanie się do człowieka o siwych włosach. do ojca rodziny wyrazami: słuchaj no ty, to-rzecz tak zwykła, jakby inaczej być nie powinno, jakby ten człowiek, obywatel równy w obliczu prawa z każdym karmazynem, był jakimś kupionym murzynem w południowej Ameryce. W człowieku takim chce lekkomyślność albo zabić ambicyę, albo nie czuje tego, że człowiek w ten sposób potraktowany spija truciznę ze słów czyichkolwiek, czy to w mieście czy na wsi, kiedy go się tak traktuje. Jakie to prawo, jaki obyczaj, jaki i czyj przykład upoważnia do podobnego postępowania? Czyja to mądrość i czyja wielkość byłaby obrażona, gdyby nie obrażiła człowieka drugiego wyrazem *ty*, jedynie dla tego, że on w siermiędze?

Nie dotykamy stosunku służbowego, bo to rzecz prywatna, dotykamy spraw publicznych, scen odbywających się na rynkach, ulicach, przed dworami, na drogach publicznych, po jarmarkach. Począwszy od karmazyna, panka, spanoszonego mieszczaństwa, a skończywszy na stangretach i lokajach, na gogach i lekkomyślnych brukotłukach, każdy ma w gębie: z drogi chamie, bo pan jedzie.

Nic dziwnego, że nieludzkość nie wyrabia ludzi, że kamienne serca i puste głowy nie zyskują przychylności.

A wszakże, te wszystkie warstwy stanowią naród. Chyba że nie chcecie podnieść je do poczucia narodowego, do godności człowieka. Prawda, mierzycie żywot na chwile wyjątkowe. Ale zaślepieni, życie się składa ze stosunków codziennych. Nie można na wielkanoc udawać człowieka a przez cały rok być małpą, przedrzeźniającą pogardę wieków średnich. Nie można w pewnych chwilach rozczulenia udawać obywatela walczącego o dobro narodu, a przez całe życie być ciekawym okazem cywilizacyjnym bez pojęcia tego narodu. Nie można być reprezentantem interesów ogółu bez pogodzenia ich harmonijnego.

Ależ my je znamy! Znacie? Chyba tak jak siebie.

Gdybyście je znali, to słyszelibyśmy dawno o zawiązaniu towarzystwa opieki nad ludźmi, jak istnieje towarzystwo opieki zwierząt bezbronnych. Dobroduszni i potulni i zahukani przez oszołomioną rzekomą opinię publiczną są także bezbronnymi.

Kiedyż to i czem został dźwignięty interes całego kraju? Kiedy i przez co zakwitł dobrobyt? Jaka i przez które dzieło gardłującej i rozczulonej filantropii została podniesiona moralność warstw najniższych? Kto i kiedy zwrócił uwagę władz najwyższych, że kraj jest wyssany ekonomicznie, że nie pomogą żadne eksperymenta sztuczne, że charlactwo czepia się ludu i mieszczaństwa uboższego, że młodzież nie znajduje zajęcia i chleba, lubo kraj nie jest przeludniony, że pomiędzy olbrzymią większością ludności w kraju tak po wsiach, jak w miasteczkach, panuje głód pospolity?

Zabawką jest obmyślanie środków, które mają podnieść kiedyś, jeżeli się nie zagląda teraz w serca ludu i ludzi pozbawionych chleba; a zdrożną komedyą jest statystyka bez czujności. Niedołężnem łudzeniem łatwowiernych są obiecanki, że krajowy przemysł się podniesie drobnemi środeczkami.

Wielkich ciężarów nie podnosi się tyczkami od chmielu. Jak nie zbuduje nikt miasta choćby tysiące chat lepianek wystawił, nie używszy cegły i nie powierzywszy planów architektom — tak też nie stworzy nikt przemysłu wielkiego i produktywnego, choćby tysiąc drobnych warstatów w jednym dniu założył. Każdy skutek odpowiada przyczynie. Nędzne środki rodzą nędzne skutki, a czem dłużej potrwa stan podobny, tem pewniejsza ruina.

Co potem lub teraz pomoże najszlachetniejsze oburzenie, wiedzą o tem tylko ci panowie, którzy wiedzą tylko o sobie, o interesie swoich panów i zyskach — ale nie o istotnym stanie rzeczy w kraju. Uprzedzimy ich i powiemy, co pomoże szlachetne oburzenie. Oto obałamuci na chwilę opinię. Sypną piaskiem w oczy, wyśpiewają kilka waryacyj na temat „poczucia narodowego, dobrobytu ludu, Opatrzności, która nas nie opuści, wierności zasadom“ itp. i rozpoczną artykuły wstępne od słów:

„Naród nasz w chwilach ciężkich złożył niejednokrotnie dowody....“

My wam dośpiewamy: złożył dowody świętej cierpliwości, wszelako pamiętać trzeba, że i najpotulniejsza cierpliwość ma swoje granice, a najzręczniejsze kłamstwo wydać się kiedyś musi.

Dla tego: dosyć oszukiwania i dosyć komedyi.

Codzienny pacierz frazesów: dla dobra kraju trzeba zastąpić codzienną pracą a w kraju widzieć nie siebie, ale wszystkich i wszystkie klasy ludności. Choćby mniej poczucia dla pięknej śmierci samobójców heroicznych, ale więcej nieco uczciwości wobec krwawych łez ogółu nie zaszkodzi.

Trzeba słyszeć jęk ludu, widzieć nędzę kraju — albo przestać odwoływać się na naród. Trzeba zapomnieć o zaszczytach a myśleć o pożytkach. Trzeba wypuścić z rąk zaarendowane środki krajowe na rzecz ludu, bo i lud dostarcza tych środków. Trzeba przedewszystkiem wyrzec się przyjemności mącenia wody w sprawach publicznych i nie stawać z interesem kasty, gdzie idzie o interes narodu.

Środki są, tylko niech przy ich pomocy nie piecze sobie interesów stronnictwo wyzyskiwaczy całego kraju. Niech się raz tworzy całość, lub to co pływa po wierzchu wyprze się jawnie pokrewieństwa z demokracyą i z całym ludem. Zobaczymy w ówczas gdzie będzie naród i pozbędzie my się teorytycznego raju, ale i z piekielnej ochłoniemy męki, Rzeczywistość jest zbawieniem.

Nieporządki czy upadek lwowskiego uniwersytetu?

V.

Działalność młodzieży akademickiej.

Gonienie za chlebem i oglądanie się za protekcyami bez wszelkiej pracy wyradza w naszej młodzieży, pominąwszy już stronę moralną, przerażający obskurantyzm. Składają się jednak na to i inne czynniki.

Wiemy jaką wiedzę wynosi zwykle student z gimnazyum w dzisiejszym jego stanie: pewien zasób „wykutych“ reguł gramatycznych z języków, naiwne wyobrażenie o historyi naturalnej, która jest tam głównie regestrem długości ogonów u zwierząt, wysokości u roślin i modyfikacyi krystalograficznych u minerałów; z fizyki kilka niejasnych, wróblich komunałów o „robieniu piorunów“ etc.; z matematyki nieznajomość albo w najlepszym razie pełną namysłu flegmatyczność w wykonywaniu najprostszych operacyi; z historyi same wojownicze zapędy królów i cesarzów, kilka kalendarzowych genealogij i subtelnych dat bitew i bitewek; z lektury domowej kilka romansów jawną lub skrytą drogą wydostanych od cioteczek, — w ogóle mało co więcej czyli nic. Wiedza więc młodzieńca, który ukończył gimnazyum jest tak szczupłą i politowania godną, że cieszyć się tylko wypada, jeżeli on nauczył się jako tako myśleć i rozwinął w sobie lub nie zatracił przynajmniej wrodzonego, zdrowego „chłopskiego“ rozumu.

To też każdy młodzieniec wstępując na uniwersytet, powinien sobie przedewszystkiem powiedzieć po Sokratesowsku i to w dosłownem znaczeniu, że nic nie umie i że jego patent na „dojrzałość“ umysłową jest tylko zbyt łaskawą allegoryą, którą dopiero na uniwersytecie należy zmienić w rzeczywistość.

Jakkolwiek więc uniwersytet powinien właściwie przysposabiać tylko do specyalnych zawodów naukowych, jednak ze względu na niedostateczną działalność gimnazyów dotychczasowych, okazuje się potrzeba dalszego wszechstronnego wykształcenia i na uniwersytecie. Inne uniwersytety pracują rzeczywiście w tym kierunku i przedstawiają w programach cały szereg encyklopedycznych wykładów, które w przystępnej formie i niespecyalistów zaznajamiają bliżej z poszczególnemi naukami. Zwykle służą do tego t. z. „publica“ tj. bezpłatne wykłady. Młodzież z prawdziwą żarliwością spieszy na te wykłady (do czego się przyczynia także dzielność profesorów) tak, że dla zapobieżenia zbytniemu natłokowi wybiera się na nie największe sale uniwersytetu albo i innych budynków.

U nas jednak we Lwowie rzadko kiedy ogłasza kto podobne wykłady przystępne dla ogółu akademików a owe publica zapowiada się tylko o tyle, o ile zarys organizacyjny uniwersytetów nakazuje je wprost odbywać każdemu profesorowi w pewnych przynajmniej odstępach kursów a i te przymusowe publica nie mają wcale charakteru wykładów encyklopedycznych. Chociaż więc który z akademików chciałby z ciekawości posłuchać wykładu przedmiotów, nie wchodzących w zakres jego specyalności, to nie znajdzie do tego sposobności. Co więcej słuchaczom teologii, którymby tak bardzo wypadało życzyć większego wykształcenia, nie wolno nawet słuchać wykładów nie teologicznych! Ponieważ wykłady specyalne nie mogą dla swej drobiazgowości

---

Jasna łza matki — co na bój syna
Błogosławiła . . . wybladła !
I tę łzę drugą — cichą, promienną,
Co w oku lubej błysnęła —
Gdy go żegnając, w ciszę kamienną
Usta i serce zaklęła.
Bo serce polskiej matki, kochanki,
Choć skarby uczucia mieści —
Umie nakazać, z męztwem Spartanki
Milczenie każdej boleści.
I jak z zaparciem Polka prawdziwa
Domowych cnót swoich strzeże —
Tak gdy Ojczyzna pomocy wzywa
Wszystko jej składa w ofierze.
Pobiegł więc młodzian z rozdartem sercem
Gdzie poszło innych tysiące !
Gdzie miał śnieg wkrótce chłodnym kobiercem
Pokryć ich czoła marzące.
Pobiegł, gdzie garstka dziatwy zbolałej
Garnęła się pod sztandary,
Na których orzeł zajaśniał biały
Godłem wolności i wiary !
Dziś, ważną misyę przyjąwszy gońca,
Z ważnemi wieści wysłany —

Czekał tu pierwszych promieni słońca
Śnieżną zamiecią wstrzymany ;
I przy ognisku dumał w pół senny
Nad tą przyszłością nieznaną,
Czy błyśnie jeszcze w chwale promiennej
Po nad tą ziemią znękaną ?!
Czy krwią, co siegi broczy purpurą,
Zapałem świętej miłości,
Przewlekłą męką... ducha torturą
Okupią zorze wolności ?!
Zwolna go w skrzydła otulił ciemne
Sen . . . cichy nocy zesłaniec —
I głowę na mchy skłoniwszy ziemne
Usnął — poeta - powstaniec.
Usnął . . . W wzburzonych uczuć natłoku,
Gdy duch podwojnem wre życiem —
Sny, co się jaśnią naszemu oku
Sąż naszych marzeń odbiciem ?
Kwiatem opadłym z przeszłości wieńca,
Czy też przyszłości obrazem ?
Czem z tego trojga był sen młodzieńca ? —
Może tem wszystkiem zarazem.
. . . .

Był na olbrzymim pustym cmentarzu,
Nad którym zwisła noc czarna —
W środku stał ołtarz, a na ołtarzu
Dymiała czara ofiarna.
Liczne mogiły, w lewo i w prawo,
Wśród chmur czarnego całunu —
Czasami tylko błyska jaskrawo
Szkarłatna wstęga piorunu.
U stóp ołtarza w cierniów koronie,
W śnieżną odzianą bieliznę,
Skutą, błagalne wznoszącą dłonie —
Poznał młodzieniec — Ojczyznę !
Długo milczała myśl przerażona
Obrazu tego zagadką ;
Wyciągnął wreszcie drżące ramiona
I z jękiem zawołał : „Matko !
„Osierocone twe przyjmij dziecię,
Przygarnij do twego łona !
Niosę ci własne i braci życie —
Wolna nam będziesz . . . zbawiona !“
— „Synu ! — jak struna zerwana, głucha,
Dźwięk smutny głos pokutnicy —
„Przychodzisz dzielić brzemię łańcucha
Zwątlonych rąk niewolnicy !

zająć obszerniejszego koła akademików, więc też niedziw, że każdy profesor ma w swem audytoryum tylko takich słuchaczy, którzy go będą „potrzebowali przy egzaminie“, przypuściwszy nawet, że wykład jego dla specyalistów jest świetnym.

Takim sposobem dzieje się więc, że akademik nie nabiera wcale wszechstronniejszego wykształcenia i o naukach, nie należących do jego „fachu“ będzie na całe życie wiedział tyle, ile wyniósł z gimnazyum t. j. nic albo jeszcze gorzej niż nic, jeżeli powynosił fałszywe wyobrażenia. Lektura zaś prywatna mało tylko może tu wchodzić w rachubę bo rzadko jest ona kierowana radą znawcy i zchodzi zwykle na błędne i bałamutne drogi. Ztąd to pochodzą owe dzikie, do starości bezmyślnie przeżuwane zdania prawników o filozofach, filozofów o prawnikach a nawet jednych filozofów o drugich z innej kategoryi.

Lwowski wydział filozoficzny posiada wprawdzie kilku takich profesorów przyciągających na wykłady ogół akademików, jednak nie dzieje się to jeszcze w takim stopniu, jakby wrodzona ciekawość wiedzy dała się młodzieży wyzyskać. Na wydziale zaś prawniczym nie słyszeliśmy o żadnym wykładzie, któryby zwabił filozofa. Kto temu winien?

Wielką rolę odgrywa tu jeszcze inna rzecz. Mianowicie zauważyć należy, że niektórzy profesorowie cierpią na osobliwszą pasyę jak najobfitszego ściągania ze słuchaczy opłaty pieniężnej za wykłady czyli t. z. czesnego. Że czesne jest plagą akademików, to każdy musi przyznać, wielu bowiem biedaków nie może się często zapisać na uniwersytet dla braku pieniędzy na czesne. Na wydziale filozoficznym, gdzie profesor ma zwykle nie wielu słuchaczy, nie troszczy się on zbyt o czesne, bo nie wystarczyło by mu ono nawet na kiepski tytoń. (Słyszeliśmy tylko o jednym zresztą wcale szanowanym profesorze wydziału filozoficznego, który tak chciwie ściąga czesne, że nawet słuchaczom robi wyszukane trudności albo wprost nie chce ich egzaminować przy kollokwiach, aby go przez to nie pozbawiali owych kilku guldenów! Piękna zachęta do nauki!) Na wydziale zaś prawniczym, gdzie czesne przynosi znaczne dochody, odbywają się często takie sceny, że dziwić się tylko wypada, jak ludzie nauki mogą na to pozwolić, aby akademik został po prostu wykluczany z uniwersytetu, świątyni nauki, dla braku kilku guldenów. Niektórzy profesorowie darowują biedakom czesne, inni jednak są nieubłagani. Wprawdzie gulden do guldena a zrobi się setka a za setkę będzie suknia dla żonki lub córki na bal, ale ponoś ludzie nauki winni mieć wyższe cele niż skupywanie fatałaszków dla lalek. Lecz prawda! niektórym ludziom ponawieszane świecidełka zastępują światło rozumu. Niech więc świecą! Światła! więcej światła!

Z największem uznaniem wypada nam tu jednak wspomnieć o dwu filantropach tutejszego wydziału prawniczego, mianowicie o prof. Dr. Rittnerze i Gryzieckim, którzy często a nawet regularnie z własnej inicyatywy przybywają ubogim słuchaczom z pomocą i to w formie honorowej, bo w formie zwrotnej pożyczki na czas bliżej nieoznaczony, aby ci nie tracili lat i opłacili się nieugiętym Schylokom, poborcom czesnego. Kontrasty stykają się!

Kiedyśmy dotknęli tu nieco stosunki materyalne młodzieży, nie zawadzi jeszcze wspomnieć o jednej sprawie nader ważnej a dotyczy ona także omówionego już braku pożycia profesorów z akademikami.

Aby poznać jak wielką jest nędza wśród wielu akademików, dość jest zwiedzić kilka poddaszy i dymnych kurników, dość zajrzeć do rozmaitych „grajzlerni“, dość popatrzyć na okropną powierzchowność wielu. Nie myślimy wcale żądać od profesorów, aby dawali jałmużnę takim biedakom, bo akademik nie przyjąłby jej nawet, natomiast prosty akt litości szczytniejszej od jałmużny danej żebrakowi, winien wzruszyć serca profesorów najbliżej się z nimi stykających i zachęcić ich do wyszukania dla takich akademików pracy, którąby im jako tako zapewniła utrzymanie. Wysokie stanowisko profesora uniwersytetu, posiadającego rozległe stosunki, nie wiele trudności sprawiałoby mu w tem a ilość nędzarzy zeszłaby tylko do pewnego procentu nieuków i nicponiów niewartych poparcia. Ileż lekcyj, ileż dyurn możnaby w ten sposób rozdać? A co do dyurn, to spełniłoby się przez to jeszcze inny akt filantropijny, bo nie pchaliby się do nich ludzie bez studyów, którzy do śmierci zostają dyurnistami w nędzy, lecz szukaliby sobie gdzieindziej zajęcia, któreby z czasem mogło być rentowniejszem.

Cóż się jednak dzieje? Oto akademik bez utrzymania przybywa na uniwersytet. Jeżeli nie ma dość znajomości albo przynajmniej śmiałości pukania do różnych drzwi, co się równa niemal żebraninie, znajduje się od razu na lodzie. Ci, którzy mają więcej wytrwałości, skazują się na głodzenie i niszczenie zdrowia i zamieszkawszy na poddaszu żyją z lekcyj udzielanych „greizlerom“ za szklankę mleka i kawałek chleba, inni zaś uciekają ze Lwowa i rozpraszają się po całym kraju i za granicą pe guwernerkach. Że ilość tych prowincyonalnych guwernerów jest rzeczywiście zastraszającą, może się każdy przekonać w biórach wywiadowczych, które nie mogą dość lekcyj na wieś dostarczyć. Co taki wiejski akademik może się nauczyć? Lecz nie tylko dlatego powinni profesorowie wstrzymać ową emigracyę głodnych akademików, lecz nie powinni także i na to pozwalać, aby oni wycierali kąty panków, którzy za swe lekceważenie nauki i nauczycieli dopraszają się niemal, aby ich zostawić zasłużonemu losowi tj. aby w głupocie wzrastali i ginęli.

Wprawdzie zarys organizacyjny uniwersytetów nie przepisuje podobnych obowiązków profesorom, lecz są ponoś pewne zarysy organizacyjne ludzkości, które przepisują obowiązki moralne. Niech i względy etyczne kierują czasem ludźmi!

(C. d. n.)

KORESPONDENCYE.

Czasopisma krakowskie.

Kraków, dn. 31. maja 1882 r.

Rozczulająca jest zgoda obu wielkich dzienników krakowskich. *Reforma* i *Czas* podają sobie rączki. Postępowa Reforma z cnotliwym Czasem zawierają małżeństwo cywilne. Bogobojny staruszek musiał uzyskać dyspensę na zawarcie małżeństwa cywilnego. — Wszystko to dla wyższych celów. Wszystko to dla spędzenia do jednej owczarni rozbrykanych owieczek, któremi mają być Rusini. Puszcza się w pogoń i współzawodniczy małżeństwo złożone z liberalnej niewiasty Reformy i podtatusiałego Czasu. Niewiastka bryknęłaby sobie chętnie, ale cóż, przyszedł czas udawania dojrzałości politycznej, współzawodnictwa w patryotyzmie. Za największy zaś uznano uganianie za owieczkami, żeby je spędzić do owczarni mocno przerzedzonej. Czuły mężulek czyni to w przekonaniu, że lepiej uderzyć owieczkę kijem, lepiej ją nawet ukąsić a spędzić do kupy, niż wydać na łup wilkom piekielnym i na wieczną zagładę. Mąż jak mąż, przywykł do tej roboty, żyło bo się nieraz i z ołtarza, ale niewiasta, liberalna Reforma, orędowniczka dobra ludu, dbała o ekonomiczny rozwój na ziemi, zkąd się jej nagle zachciało owych rozkoszy niebiesko-jezuickich? Fakt jednak faktem.

Ha no, poczekamy, zobaczymy jak długo potrwa ta zgoda. Obecnie jednak rozkapryszona nieco liberalizmem niewiasta, która miała zamiar świat reformować została uskromiona, a może olśniona święcącem pruchnem siwego staruszka. On też umizgać się gotów, trzeba tylko, żeby nadobna niewiasta wyrzekła się jeszcze wnikania krytycznego w dokumenta delegacyi, żeby tę część obnażania spraw i ludzi pozostawiła podstarzałemu małżonkowi, który połamawszy zęby na powabach plastycznych, nie ugryzie już, choćby tysiąc pokus łechtało żądze obłudnika. Dla tego on taki pobłażliwy na grzeszki polityczne ludzi o krwi fioletowej. Staremu znawcy to uchodzi, ale niewieście która ma przejść na drogę cnoty rekolekcyjnej jakoś to nie do twarzy.

Bądź co bądź, harmonia panuje w tem stadle. Podtrzymują ją dzielnie lwowscy korespondenci *Czasu* i *Reformy*, którzy w interesie ojców jezuitów zgadzają się na jedno. Czy w kwiecie oburzeń tych korespondentów dopatrzył kto kiedy jakąkolwiek myśl polityczną, nie wiemy — ale my jej nie widzimy. Ale piszą się tak dalece na jedno, że możnaby czasem korespondencyę jednego ogłosić w obu naraz pismach. Obadwaj często powtarzają, że „nietrudno było przewidzieć“ albo „wypadek ten był do przewidzenia.“ Jednem słowem, są to wielcy prorocy w drobniuchnych sprawach. Jeżeliby wolno porównać ich do Sokratesa i Alcybiadesa, to rzecz dziwna, dla obu kamieniem filozoficznym jest „szyzma“. Alcybiadesik, który sekunduje naszej pobrykującej po za oczy staruszkowi nadobnej Reformie, bodaj czy się nie zagłębia w tej chwili w marzeniach nad słodyczą pożycia z jaką nadpełtwiańską Hipparetą, bo dużo prawi o moralności. A wiadomo, że i prawdziwy Alcybiades objawił był skruchę przed tym aktem. Walczą tedy przeciw szyzmie i Sokratesy i Alcybiadesy. A jak ongi wspierał filozof źle wychowanego hetmana w walkach orężnych, tak się też i oni nawzajem popierają w *Czasie* i *Reformie*. Domyślamy się z lwowskiej relacyi moralniejącego szambelana Reformy, umieszczonej w numerze 122, że jest tam mowa o waszej *Strażnicy polskiej*, bo czytamy wyrazy następujące:

„Jakieś pismo tutejsze, wydawane w polskim języku oddaje hołd znakomitemu obywatelowi Lickendorfowi za jego patryotyczne odezwanie się“ etc.

Jakto, więc *Strażnica polska* przestała już być czasopismem polskiem a jest tylko „jakiemś pismem“ wychodzącem w języku polskim. Szukamy dowodów i nie możemy znaleźć, żeby tak było. Czyby też nam poskramiająca się nadobna niewiasta podwawelska nie raczyła odpowiedzieć, co jest patryotyzm, gdzie szukać w Galicyi jego reprezentantów, gdzie czynów owych sławnych mężów, którzy tak miłują ojczyznę i wolność, i że robią cokolwiek dla tych dwóch idei? Rezolutna Reforma zesznuruje skromnie usteczka, bo czuwa nad nią cnotliwy z konieczności Czas. Ach! jakto nas na starość nic nie kosztują cnoty, a są tak miłe Bogu.

„Przychodzisz spocząć na tym obszarze
Gdzie tyle mogił czernieje?!
Do tej krwi jasnej dymiącej w czarze
I twoja krew się przyleje!
Lecz długie jeszcze przeminą lata
Nim zejdzie zasiew wasz w plonie,
Nim spadnie ze mnie pokutna szata
I błysnę w chwały koronie!
Cóż ci da w zamian zbolała matka,
Której królestwem dziś... cmentarz!
Dla której walczysz do sił ostatka,
Dla której wszystko poświęcasz?
Chyba tę pewność, że choć ciemności
Duch, tryumfuje piekielny —
Wy — pod gmach przyszłej mojej wielkości
Kładziecie kamień węgielny!
Bo dziś, gdy męstwem i poświęceniem
Tyle w około serc bije,
Choć pod niewoli zgięta brzemieniem
Jam silna dzieci... ja żyję!
... Ale nadejdzie czas inny, ciemny,
Chłodem zwątpienia przejęty,
Kiedy po walce długiej, daremnej,
Ostygnie zapał ten święty.
Czas, ciężkie w piersiach zagoi blizny,
Ucichną szaty namiętne,
I wielu będą losy ojczyzny,
Cierpienia jej — obojętne.
Wróg się z całunkiem zbliży Judasza,
W zdradnej przyjaźni sukience
I rzecze: „Mrzonką jest przyszłość wasza!
W moje powierzcie ją ręce!
Wrócę was miłym dawnym swobodom,
Krzywd poprzysięgam zatarcie!
Za upór, wrosły wolnym narodom,
Za swych nadziei — zaparcie!“
Lecz już przymierze takie niesławą,
Czoła Polaka nie splami,
Bo go dziś od niej otchłanią krwawą,
Krwawemi dzielicie łzami!
Naówczas, dzieje wasze powstaną
Wzniosłem wspomnieniem i wzorem,
Wiodąc ojczystą łódź skołataną
Dawnym promiennym jej torem.
Już wstaje słońce... żegnam cię synu!
Kres dróg twych już niedaleki —
Zginiesz! — rycerzu pieśni i czynu,
Lecz zginiesz — byś żył na wieki!“
. . . .
Ocknął się młodzian, padł na kolana
I po gorącej modlitwie —
Kończył swą drogę... śmierć obiecana
Wkrótce spotkała go w bitwie...
Piewcę swojego druhowie smutni
W leśnej złożyli ustroni —
Gdzie jak dłoń jego po strunach lutni
Wietrzyk w gałązki drzew dzwoni.
Już pierś gorącą — chłodna darń kryje,
Mogiłę — zarośla cienią,
Lecz między braćmi duch jego żyje,
I jego pieśni promienią!

Marya Bartus.

Pościłam dziś, suszyłam wczoraj — niech to będzie Bogu niewymowne, mawiała pewna dama. Niechże i Reforma nie wypomina swoich heroicznych czynów, kiedyś, z czasem, gdy się nauczy co to jest patryotyzm, co obowiązki obywatelskie a co pacierz za panią matką, zesznurowaną, skrępowaną, z magnacko-żydowska przykrojoną opinią salonów, przedpokojów i banków... Odpowiedź może znajdziemy, gdy się Reforma uderzy w piersi, przyzna do umysłowej bezsilności, do błędu w najważniejszej dziś sprawie polsko-ruskiej. Odpowiedzi jej lwowskiej chorągiewki nie wyciągamy. Znamy tu *Strażnicę* ale nie znamy j a k i c h ś tam korespondentów Reformy i Czasu, którzy nam rekomendują swój specyalny galicyjsko-lwowsko-brukowy patryotyzm· Że Czas wierzy albo dla zbawienia ludu (sic) udaje że wierzy w nieomylność dogmatu, iż kogoś za wiarę prześladować się nie tylko godzi, ale powinno, temu się nie dziwimy zgoła. Ale *Reforma*, zaprawdę daleka jest od reformy. Blaga w tytule, oklepane frazesy w polityce i jedne remedium na wszystkie choroby: jezuici. O! politycy z końca dziewiętnastego wieku, wyż to śmiecie się nazywać potomkami tych wielkich ojców, którzy w Rzeczypospolitej dawali przytułek, wolność i opiekę prześladowanym przez Niemców wyznawcom Hussa? Mieliśmy za to w boju za wolność pobratymów czeskich walcząc z Niemcami. — Ale za pigmejczyków szczwania, za karłów potwarze nie zyskamy Rusinów. Nędzna to broń, niejasna i sztandar nie ten, równie szlachetnych ojców, którzy w wojnie 1831 roku wypisali: „Za naszą i waszą wolność!“ A jak mówili, tak czuli. Więc i za narodu moskiewskiego w o l n o ś ć nieśli krew, gardząc tylko despotyzmem carskim, uznając naród sam niewinnym krzywd, których w imieniu jego dopuszczali się satrapi.

Nad czem to zresztą tak pracują ci politycy *Reform* niereformujących i *Czasów* nie na czasie? O ile widzimy, mówiąc bez upiększeń i bez frazesów, pracują nad obdarowaniem jezuitów dobrami doczesnemi. Ascetyzmem i w ascetyzmie rozanielony małżonek tego gatunku, co *Czas*, może ma nadzieję wejść za orędownictwem synów Lojoli do królestwa niebieskiego, ale jaki interes ma w tem nadobna Reforma? Należałoby zacząć żywot od czynów a nie od pokuty. Nie wkradamy się zresztą w tajniki sumienia, bo przecież Magdalena była także młoda, a pokutę czyniła. Czyńcież panowie pokutę, panowie i panie o krwi fioletowej, błękitnej i półbłękitnej, naród jej czynić nie potrzebuje, bo naród nic nikomu nie winien, niczem nie zawinił. Kiepscy politycy błądzili, eksperymentowali a naród cierpiał, wylewał łzy i krew. Toż samo z narodem ruskim, on nic nie winien, że pewnej kaście nie chce się pracować i m y ś l e ć, że chce się natomiast nowych eksperymentów, nowych tytułów, mniejsza z tem zkąd, z Rzymu czy z Berlina, z Petersburga czy zkądinąd via Léopol etc. Po co to wszystko, ażeby urość w oczach ulicy na zbawców. Przed kim i przed czem? Przed Rusinami. Bądźcie panowie bez obawy. Ruś to demokracya, a prawdziwa Polska, to także demokracya. Ten demos, ta ulica o krwi czerwonej porozumieją się doskonale, gdzie idzie o wolność, o swobodę.

Tak jest, nie o bulle papieskie tu chodzi, nie o zbawców łatwych dla zrobienia sobie reklamy, ale o sprawiedliwość, o wolność w granicach legalnych, przez rząd konstytucyjny zagwarantowanych. Te znajdziemy, bo mamy miłość w sercach, nie zawiść i jad ambicyi, sięgającej po tytuły.

Pragnąłbym w końcu zwrócić waszą i waszych czytelników uwagę, na jakie liche rozumowania zdobywa się *Czas* w artykułach wstępnych. W numerze 120 z dnia 27. maja poświęcając artykuł wstępny Listowi Apostolskiemu, odzywa się staruszek z namaszczeniem, że *Gazeta Narodowa* nie jest „kompetentnym komentatorem w rzeczach życia zakonnego‘ itp. Któż jest, pytamy, kompetentnym komentatorem tej pleśni, która pokrywa groby, kto tego robactwa, co się w grobach lęgnie, kto w końcu byłby dziś odpowiednim wykładcą teoryj średniowiecznych, gdyby je władza jaka chciała utrzymać? Oczywiście tylko hierarchia tej władzy. Ale jak pleśń i robactwo grobów wstrętne są dla ludzi żywych, tak samo wstrętne muszą być komentarze skostniałości dla narodów żywych. *Czasowi* się zdaje, że — jak mówi — „z sfer życia zakonnego można wydobyć iskrę ożywczą.“ Czemuż tego nie zrobili k o m p e t e n t n i przed *Czasem*, czemu nie robią teraz i przestali już krzesać te iskry od kilku wieków? Czemu żydzi z talmudu nie wykrzesują nic oprócz ciemnych przesądów i podtrzymują takowe w społeczeństwie żydowskiem? Czemu Turcy nie mogą dziś wykrzesać iskier dawnego fanatyzmu z Koranu, czemu chorągiew Mahometa nie rozpromienia przygasłych oczu? Czemu zdogmatyzowany w Moskwie despotyzm traci z dniem każdym zwolenników? Czemu jego komentatorowie kryją się w pałacach i twierdzach za dziesięciu murami, a lud słucha niekompetentnych wykładców tego, co uśpione na dnie serca nieszczęśliwych ludów?

Czemuż to wszystko się dzieje, a staruszkowie nie znajdują kompetentnych odpowiadaczy, lecz uciekają się do pleśni grobów, do martwej litery i wołają: wierz, że to jedynie zbawi, kiedy i prosty lud wie już dziś, że robactwo nie jest pokarmem dla człowieka, że wyziewy z trupa zatruwają, że Bóg jest w istocie dobrym i miłosiernym Ojcem a nie postrachem dla cierpiących.

Czemu zresztą *Czas* dla poparcia swojej wszechmądrości nie szuka nauki u źródła w słowach Chrystusa, ale szuka jej jak starzy Faryzeusze także w talmudzie, w tajnikach, które utworzyli książęta. Uksiążęcony i chełpiący się zasługami około bluźnierstw przeciw świętościom narodowym *Czas* woła, jakby chciał powiedzieć to samo na ewangelię, co mówili Faryzeusze:

„Iżali kto uwierzył weń z książąt albo z Faryzeuszów?

„Tylko ten g m i n, który nie zna zakonu; przeklęci są!“

Przeklinajcie panowie w imię hierarchii, bo wam jej interes świętszy nad dobro narodu i jej słowa ważniejsze nad słowa Chrystusa, który rzekł do Samarytanki:

„Wierz mi, iż idzie godzina, gdy ani na tej górze, ani w Jeruzalemie nie będziecie chwalili Ojca.

„Idzie godzina i teraz jest, gdy prawdziwi chwalcy będą chwalić ojca **w duchu i w prawdzie.**“ Św. Jan. IV. 21. 23.

Ducha i prawdy nie znoszą ludzie, którym idzie nadewszystko o interesa kast, więc przeklinają tych, którzy pragną dobra ogółu w imię prawdy, którzy nie poczytują cierpienia ludów za konieczne.

Ludwin z nad Wisły.

Borysław dnia 31. Maja 1882.

(Przypływ emigrantów żydowskich z Rossyi; komitet zbierający składki z Rossyi a gnębiący tutejszych żydów, nowy sposób wywłaszczania, używany przez bogatych żydów; jaki cel ma w wielkiej fabryce Goldhamera i sp. urządzony telefon).

I my już mamy tutaj emigrantów żydowskich z z Rosyi z różnych okolic, w przyszłym roku przybyła ich wprawdzie mała liczba, lecz teraz po pogromie Bałty przybyło ich znacznie więcej, i każdym pociągiem kolei kilka nowo przybyłych zastęp ten powiększa. U nas i w Drohobyczu jest obecnie kilkadziesiąt familij tych emigrantów, i rozłażą się pojedyńczo po całym powiecie - zachodzi jednak wielka obawa iż napływ w krótce zwiększy się na tysiące. Dotąd żadnej nie ma kontroli co do meldunku i wykazania się majątkiem, przeto każdy szuka na razie podług upodobania za zarobkiem, lub wałęsa się bezczynnie, żyjąc z jałmużny lub z przemysłu?... jakkolwiek jesteśmy liberalni, i więcej może oswojeni z proletaryatem żydowskim aniżeli inne powiaty kraju naszego, to przecież strach nas przejmuje na samą myśl, iż liczba proletaryatu tego dla rozwoju krajowego pod każdym względem najszkodliwszego, wzrośnie znacznie przez napływ zupełnie nam obcego żywiołu rozkładowego, dla tego z upragnieniem oczekujemy położenia tamy nowemu napływowi, i szybkiego oddalenia zaczynających się tutaj osiedlać emigrantów żydowskich z Rosyi — chociaż by nawet takich, którzy się majątkiem wykażą, i wcale nie dowierzajmy niby prawości naszych żydów i zwierzchnościom gminnym Borysławia i Drohobycza w ręku kliki żydowskiej pozostających; gdyż ci broniąc swych współwyznawców z Rossyi, gotowi każdemu z nich podać znany sposób wykazania się majątkiem, dając im pro forma papiery wartościowe na godzinę, niby na dowód wykazania posiadania majątku — co mogłoby w błąd Władze wprowadzić, a nas uszczęśliwić takim znakomitym przybytkiem społecznym, od którego by nas wkrótce nie tylko głowa boleć mogła?...

Zawiązał się tutaj komitet celem zbierania składki pieniężnej dla emigrantów żydowskich z Rossyi składający się ze wspólników (tak zwanej wielkiej fabryki) Goldhammera, i uzbierano pomiędzy żydami i chrześcijanami około 2.000 złr. Daleko lepiej ci zbierający by uczynili, gdyby zamiast wspierania emigrantów żydów z Rossyi, udawania przed światem filantropów, szlachetnych liberałów cudzym kosztem i strojenia się w cudze piórka — tutaj w domu u siebie niepostępowali despotycznie, nie gnębili biedniejszych swych współwyznawców i kosztem tych się nie bogacili, puszczając ostatnich z torbami jak uczyniono np. z rodzinami Gottlieba, Altmanna, Schiffmana, Traugotta, Hendla, Rothenberga, Münzera, Zuc-

---



Ś. p. Helena z Prusów Groblewskich

z Oleksowa

GNIEWOSZOWA.

Nieposądzi zapewne nikt piszącego o chęć głoszenia czczego panegeryku, jeżeli się odważa w d z i s i e j s z y c h c z a s a c h, podnieść żywot niewiasty, której działalność osobista nieprzekraczała ogniska domowego i penatów rodzinnych, bo jeżeli się bliżej zastanowi, to zmuszonym będzie przyznać, że matka rodziny, Polka jest dzisiaj najgłówniejszym czynnikiem i siłą naszej przyszłości. To też w epoce, w której wichry i burze społeczne usiłują podwaliny te rodu ludzkiego i narodów osłabić i skruszyć, zasługuje i maluczki żywot na pośmiertne słowo.

S. p. Helena, córka ś. p. Antoniego i Elżbiety z Bierońskich Groblewskich urodziła się w Cianowicach, w województwie krakowskiem w r. 1832. Jako córa starego żołnierza polskiego legionisty-napoleończyka, ozdobionego krzyżem legii honorowej i matki, która była ideałem cnót staropolskich, od kolebki uczyła się na tych żywych przykładach miłości Boga i Ojczyzny. Dalsze wychowanie pobierała w klasztorze Norbertanek w Ibramowicach a było to zgromadzenie prawdziwie świętych polskich cór, służebniczek Bożych; bo tam na równi uprawiano zasady wiary ojców i miłości Ojczyzny. Wychowanie odpowiadające zupełnie wymogom czasów, było jednak niesłychanie różne od dzisiejszych zakładów zakonnych i świeckich pensyonatów. To co swojskie. to wpajano przedewszystkiem w młodociane umysły przyszłych matek i obywatelek. Język polski, literatura i dzieje, były tam kamieniem węgielnym wykształcenia. Mniej więcej pilna pensyonarka, która wyszła z Ibramowic, władała tak poprawnie językiem, a pisząc takiego stylu używała, iżby jej dziś nie jeden profesor literatury polskiej mógł pozazdrościć. W ogóle wszystko czego uczono odznaczało się gruntownością i polską szlachetnością. W r. 1856 zawarła ś. p. Helena ślub z Janem Nepomucenem z Oleksowa Gniewoszem, zamieszkując w Poniku w powiecie olkuskim, o trzy mile od Jasnej góry i w sąsiedztwie Potoka Złotego, tej prawdziwej Szwajcaryi polskiej. Niewielka to była fortuna szlachecka, lecz założone przez męża zakłady fabryczne, podnosiły ją i Bóg błogosławił. Wkrótce jednak nad dotąd jasnymi dniami żywota ś. p. Heleny miały spocząć ciężkie czarne chmury, spuszczając piorun po piorunie.

Była to istota dziwnie anielskiego charakteru, to też ktokolwiek ją poznał, był dla niej z czcią i uwielbieniem. Spokojna i potulna, niewolną jednak była od wrażliwości i objawów trwogi nawet w nieznaczących wypadkach. Jak jednak później tego dowiodła przez szereg 22 lat, to w tem słabem ciele i wrażliwym umyśle panowała dusza wielkiej siły a która z prawdziwie chrześciańską rezygnacyą umiała znosić krzyże, jakie Bóg na nią zsyłał.

Już od wypadków marcowych w Warszawie 1861 r. dom jej był ogniskiem wszelkiego ruchu politycznego i organizacyjnego na całe województwo krakowskie. Nikt tam niebył pewien jutra; nikt nie kładł głowy do spoczynku z pewnością że go ręka satrapów carskich nie porwie i nie wywiezie do cytadeli, w Sybir, lub niezawiesi na szubienicy. S. p. Helena wszystkiego była świadoma, lecz nigdy nieobjawiła najmniejszej trwogi. Na co siły Polki zdobyć się mogły, w tem pomagała. Nadszedł dzień 21 Stycznia 1863 r. Byłato godzina 6. wieczorem. Przededwór ściągnęła liczna gromada wiernych synów Ojczyzny ze wszystkich stron powiatu, do której główny kontyngens dostarczyli współpracownicy męża z fabryk, opuszczając rodziny dla spełnienia najświętszego obowiązku. We dworze starzec 84 letni, stary żołnierz polski, nieodrodny syn ojców swoich, wznosząc relikwię rodową Matkę Boską Częstochowską, błogosławił syna na bój z wrogiem śmiertelnym; — a tuż stała niewiasta młoda, przy niej dwoje pacholąt i dziewczynka, najstarsze cztery a najmłodsze dwa lata. Niewiasta była w stanie poważnym i każdego dnia spodziewała się zostać znowu matką. Jakie uczucia malowały się w jej obliczu i całej postaci, trudno opisać, ale to pewna, że z niej mógłby wziąść artysta pierwowzór, gdyby chciał przedstawić matkę i żonę kochającą, która zresztą oprócz Boga i Ojczyzny nic innego nie miłuje. Ojciec pobłogosławił dziatwę drobną, uściskał po raz ostatni wierną towarzyszkę — „Bądź opiekunką ojca starca i tej dziatwy naszej.“ „Będę“ — odpowiedziała głosem ze ściśniętej piersi ale ani jękła, kładąc krzyż na głowę męża.

Za kilka dni zakwiliło niemowlę we dworze a już w trzy doby potem, wśród ciemnej nocy, po śniegu wśród zimna, uciekała nieszczęśliwa matka, tuląc do piersi nowo narodzone, gdy służba niosła za nią dziatek troje, aby ujść przed rabującą dziczą moskiewską i ledwo zdołała się dostać wśród niebezpieczeństw do Krakowa, gdzie niemowlę życie zakończyło.

kerberga, Goldberga, Tillemanna, i wiele innych; i by nie mścili się nad niemi jedynie z tego powodu, iż podczas wyborów do rady miejskiej w opozycyi byli; gdyż jeżeli tak dalej stan średni żydowski wyzyskiwać, wywłaszczać, niszczyć i gnębić będą (chrześcjan już dawno u nas wyniszczono) to u nas przyjdzie prędzej aniżeli gdzie indziej do „kramoły“ lecz nie chrześcjan przeciw żydom — tylko żydzi biedniejsi przez bogatych doszczętnie zniszczeni, rzucą się na swych gnębicieli i pijawki!

Jak dalece biedni ci żydzi są na swych gnębicieli rozdrażnieni, za rabulistyczne postępowanie, niszczenie ich z mienia i wykonywanie zensty, najlepiej maluje fakt, iż zwą żydów ich krzywdą spanoszonych „Kacapami“!

W jaki zaś sposób Gartenberg i sp. wywłaszczają biedniejszych swych spółwyznawców z mienia, niechaj posłuży następujący fakt krzyczący: Iry Meth zwany (Stretyner) posiada szyb woskowy Nr. 1715, który leży pomiędzy szybami Gartenberga i sp., Iry Meth pomimo iż majątkowo bardzo podupadł nie chce szybu swego za co bądź sprzedać, albowiem spodziewając się lada dzień wosku, interesa swe poprawi. Gartenberg i sp. chcą ale koniecznie ten szyb posiadać, lecz ponieważ właściciel na niską cenę kupna zgodzić się nie może i dobrowolnie odstąpić nie chce — obmyślił spólnik Gartenbergów Srul Liebermann zupełnie nową metodę expropriacyi i tak: wpada ze swymi ludźmi do koszary Iry Meth, bije go, kaleczy, wydziera mu brodę; potem ustępuje z miejsca walki, lecz każe cernować szyb ten, bombarduje kamieniami koszary tak długo, dopóki właściciel zgłodniały, chory, pokaleczony nie będzie zmuszony opuścić takowego. Wtedy się bierze gwałtem zbombardowany szyb w posiadanie fizyczne, tentuje się ugodę z właścicielem, a gdy ten godzić się nie chce i posiada środki do procesu, może udać się na drogę prawa! Nie do uwierzenia a jednak prawdziwe! niech nam kto na kuli ziemskiej pokaże drugi taki Borysław?!

Fabryka (tak zwana wielka) Goldhamera i sp. urządziła „telefon“ aż do Drohobycza, który już od kilkunastu dni funkcyonuje ze skutkiem i ku zadowoleniu właścicieli; niektórzy twierdzą iż „telefon“ ten czyli jak go żydzi tutaj zwą „fieleton“ ma służyć w razie pogromu do szybkiego zarządzenia mobilizacyi i udzielenia miejscu zagrożonemu szybkiej odsieczy; inni utrzymują, ponieważ słupy ciągną się aż do kryminału, iż „telefon“ ten będzie tylko łatwiejszym środkiem komunikacyjnym pomiędzy fabryką a tym budynkiem. My zaś sądzimy, iż urządzając „telefon“ liczono się więcej wzglcdami finansowemi, spodziewając się rychło dobrego kupca na fabrykę, a mianowicie Offenheima i spółkę.

Odpowiedź

Ks. Adamowi Sapieże na Jego odezwanie się publiczne we Lwowie przy okazyi zakładania w Galicyi „kółek włościańskich“.

Szanowna Redakcyo „Strażnicy polskiej“ we Lwowie.

Z inicyatywy czcigodnego Patrona kółek włościańskich na Wielkopolskiej ziemi Wiel. Pana Jackowskiego, zebrało się grono dobrze myślących patryjotów jako w rocznicę pamiętnej konstytucyi 3 Maja, we Lwowie, aby i w Galicyi rozwinąć zaprowadzenie kółek włościańskich i przyjść z bratnią pomocą włościanom, którzy tu w Galicyi zwłaszcza tak opuszczeni zostali od starszych braci i zarazem pozostawieni są na łasce całej armi arendarzy i Banków, wywłaszczających tychże włościan z ojcowizny i tworzących przez to straszny proletaryat ciemnych umysłowo mas roznamiętnionego ludu.

Każdy uczciwie myślący Polak z prawdziwą radością przyjął tę myśl zakładania kółek włościańskich i to w kraju zamieszkałym przez dwie bratnie Słowiańskie narodowości, kłócone pomiędzy sobą propagandą szatanów, którym miłość bliźniego jest wstrętna, a nauka Chrystusa Pana stoi zaporą do osiągnięcia egoistycznych swych celów panowania w ciemnościach, gdzie niewola, serwilizm i upodlenie mas narodu są fundamentem potęgi tychże szatanów.

Na tem zgromadzeniu podniósł głos Ks. Adam Sapieha i chwaląc naturalnie, bo inaczej niemógł pożyteczność kółek włościańskich na Wielkopolskiej ziemi, pozwolił sobie powiedzieć, że w Galicyi zaprowadzanie kółek włościańskich jak w Poznańskiem nie jest jeszcze na czasie i że nie wszędzie takowe zaprowadzone być mogą, a nawet wspomniał, że takie kółka mogłyby stać się ogniskiem wrogiej nam Polakom propagandy socyalno-panslawistycznej, bo tak zrozumieli ludzie myślący owe odezwanie się Ks. Adama Sapiehy. Także w swej mowie Ks. Sapieha stanął w obronie szlachty galicyjskiej i skruszył kopie z pewnym autorem listu pisanego z Wielkopolski do pewnego patryoty zamieszkałego na ziemi czerwonej w Galicyi, a który to Wielkopolanin ośmielił się wytykać Szlachcie w Galicyi owe liczne karczmy, utrzymywanie armii arendarzy, zrekrutowanej z synów Izraela i zarazem owe wykupno prawa zbieraniem przez lat 26 od pijaków funduszu na opłacenie arendarzom arkuszy i szynkarzom.

Na owem zgromadzeniu nikt nieposiadał tyle cywilnej odwagi aby uchylić zasłonę i odpowiedzieć Ks. Sapieże; jednakże w kraju całym zdrowa opinia ludzi uczciwych i gorąco miłujących ojczyznę, niezgadza się z wygłoszonem zdaniem Ks. Adama Sapiehy, a popartym przez jego adoratorów, zwolenników i klijentów magnackiego stołu i traktamentu. Otóż ci twierdzą, że zgromadzenie sparaliżowane zostało odezwaniem się Ks. Sapiehy, lecz, że zaprowadzenie kółek włościańskich w Galicyi, dla podniesienia ekonomicznego ludu na Rusi jest niezbędne i zupełnie na czasie i że mogłyby one spiesznie i pożytecznie rozwinąć się. gdyby się znaleźli tacy obywalele w w kraju, którzyby z całem poświęceniem dołożyli starań i szczerze się zabrali, każdy w swej okolicy, do zakładania owych kółek, lecz temu stoją na przeszkodzie u nas nieszczęsne interesa egoistycznej natury samych właścicieli zaskorupiałych w swych obszarach dworskich. Przytem tam gdzie kółko włościańskie miałoby być zaprowadzone i mogło się rozwinąć, musiałby właściciel wyrzucić z karczem żydów, to jest dla niego tak wygodnych Mortków, Szmulów i Abrahamków i przytem niemógłby wydzierżawiać folwarków żydom ani też utrzymywać oficyalistów wyznania tałmudowo-mojżeszowego.

Jak obecnie rzeczy stoją, nawet sam Ks. Adam Sapieha wydzierżawia swe folwarki żydom i to znanym wyzyskiwaczom ludu, jak to naprzykład w Rawie ruskiej Goldbergom etc., którzy gorzelnię, browar, młyn i propinacyą książęcą posiadają w swych rękach. Otóż tam jest nie na czasie zaprowadzanie kółek włościańskich i ani myśleć można o ratowaniu włościan ze szponów wyzyskiwaczy i demoralizatorów, którzy jak jakie pijawki, ssą ciemne masy ludu naszego. W samej brudno-nędznej Rawie jest 92 szynków żydowskich, chociaż prawo propinacyi należy do Ks. Adama Sapiehy, który swem odezwaniem się na zgromadzeniu we Lwowie 3. Maja t. r. niewymienił powodów, dlaczego on jest tak przekonany, że zakładanie kółek włościańskich w Galicyi jeszcze nie jest na czasie i że może być użyte przez panslawistów czy moskalofilów na naszą niekorzyść.

Wszakże w Rawie naprzeciw pałacu księcia Sapiehy stoi klasztor ojców Reformatów, a jednakże właściciel tych dóbr, nie stara się aby dopomagać tymże do paraliżowania tej propagandy, której tak się obawia u nas Ks. Adam Sapieha. Ci zakonnicy z jałmużny żyjący muszą nawet trochę paszy dla krówki i koni, jako też i drzewo dowozić do klasztoru z dalekiej okolicy, bo administracya dóbr Księcia Pana niema polecenia zaopatrywać klasztoru w to, co majątku nie zrujnuje, a zakonnikom może dopomódz w pracy około ludu zbałamuconego propagandą, której się każdy obawia. Wprawdzie w Rawie dzierżawcą jest żyd Goldberg, a ten ma swego Rabina i Kahał, który wspierać musi i niepoczuwa się do obowiązku dopomagania OO. Reformatom.

Gdyby ks. Adam Sapieha niebył publicznie stanął w obronie Panów galicyjskich i niejako niebył zarzucił kłamstwa a u t o r o w i owego listu Wielkopolanina, który go tak zgorszył, to niebyłbym wymawiał publicznie kilku sekretów w administracyi Jego dóbr, lecz ten — kto ma odwagę cywilną publicznie paraliżować w kraju najzbawienniejsze projekta i instytucye, ten musi na to być przygotowany, że mu też publicznie odpowiedzą ludzie uczciwiwego serca, pragnący szczęścia ludu wiejskiego, a którzy niewidzą w zakładaniu Banków z 12% dywidendami i w kupowaniu cuchnących demoralizacyą dzienników — zbawienia ojczyzny i na taki partyotyzm pisać się nie mogą.

Mamy też w Lubaczowie w dobrach sukcesorów po ś. p. Hr. Gołuchowskim, któremu swego czasu szlachta galicyjska chciała postawić pomnik, Z a r z ą d c ę żyda, cokolwiek ucybulizowanego; folwarki zaś są wydzierzawione żydom a po karczmach siedzą sami żydzi, przeto i tam jest naturalnie n i e n a c z a s i e zaprowadzenie kółek włościańskich, bo takie kółka przez żydów popierane być niemogą. Mówmy sobie prawdę w oczy i to publicznie i nienależmy do grona adoracyi wspólnej, a wtenczas i w Galicyi zmienią się stosunki, bo opinia się ustali i niebędzie pozostawać w rękach ludzi trudniących się utylitarnem jezuickiem faryzeuszostwem.

Jeżeli u osobistości tak wybitnych i zamożnych w obywatelstwie naszem, takie stosunki w Ich dobrach panują, to cóż można znaleść u innych hrabiów i baronów galicyjskich. Niegniewajmy się też na Wielkopolanina, że tak surowy sąd wydał o szlachcie galicyjskiej w swym liście i niemówmy publicznie na

---

Dnia 9 lipca 1863 r. był krwawy bój z Moskwą w Poniku i pod Janowem. Dzielny Chmieliński pobił wroga na głowę i zmusił do haniebnej ucieczki. Lecz Moskwa umie po swojemu zwyciężać. W kilka dni z rozkazu namiestnika Berga, przybył do Ponika i Janowa pułkownik Ehrnroth a nakazawszy rabunek podczas którego kazał sobie wynieść ze dworu w Poniku stół, krzesła i samowar, pił czaj a żołdactwo rzucało żagwie pożarne. W kilka godzin z Ponika i Janowa sterczały tylko kominy a wiatr rozżarzał zgliszcza.

W r. 1864 w miesiącu Czerwcu, gdy mąż śp. Heleny wywieziony był na wygnanie, ją odstawiono z dziatwą do słupów granicznych. Powróciła na zgliszcza Ponika i zastała straszną pustkę, a teścia starca którego żadna siła z tych miejsc oderwać niemogła ujrzała sierotą złamaną od bolów, którą zacni włościanie do siebie przytulili, bo niechciał przyjąć gościnności u tych sąsiadów, dla których miał tylko pogardę.

Ciężka to była dola śp. Heleny, bo co było uczciwego z równych jej, to albo wyginęło, poszło w Sybir lub na tułactwo, albo też dotknięci byli taką samą nędzą. Natomiast od tych, co się swobodnie ruszali, doznawała szyderstwa, urągań i najniecniejszego znęcania. Znalazła jednak opiekę u serdecznych włościan ponickich; ci się ujęli tak samo jak starca, jej doli i sierot. Pomogli wystawić na zgliszczach małą chatkę, zorali i zasiali przynajmniej tyle ziemi, aby na chleb codzienny wystarczyło. Gdy jednak i im brakowało, to i w chacie żony tułacza która przedtem nigdy nie doznała niedostatku, bywało często chłodno i głodno. W dodatku pisma w moskiewskiej służbie, podawały o jej tułaczu najohydniejsze wieści, których to pism zacni sąsiedzi nieomieszkali nieszczęśliwej dostarczać. Ona jednak była wyższą nad tych wyrodków, nie przestała nigdy wierzyć w uczciwość męża, podnosiła dumnie głowę i okiem śmiałem patrzała każdemu w oczy. Nie narzekała na nieszczęsną dolę, ani jedno słowo skargi nie wyszło z jej ust, lub żalu za mieniem, które spłonęło na ołtarzu miłości Ojczyzny. Żyła z Bogiem i dziatwą swoją — zaszczepiając w jej duszach te prawdy żywota, w jakich sama wzrosła.

Po sześciu latach tak twardego żywota, straciwszy w tym czasie matkę, siostrę i kilku członków rodziny których kochała, zmuszoną była rozstać się z ukochanym teściem, który ją ukochał jak anioła opiekuńczego, a starzec blizko dziewiędziesięcioletni niechciał się rozłączyć z grobem żony, spoczywającej na parafialnym cmentarzu w Potoku Złotym.

Podążyła do Galicyi do męża, który tam przybył z tułactwa.

Lecz i tu mało zaznała chwil jaśniejszych; — bo chociaż chwilami zabłysły promienie swobodniejszej doli, to znowu zaciemniały je czarne dni doświadczeń i walki o byt. I tu, gdy towarzysz żywota nie chciał się zasklepić w żółwiej skorupie bezczynu, rozpoczęła się nowa twarda chociaż bezkrwawa walka. I tu usiłowano prawdziwie piekielnym podszeptem lub szyderstwem zachwiać jej wiarę do męża. Chybiano jednak zawsze celu, bo wiara jej była niezłomna a miłość Ojczyzny niemniejsza.

Nareszcie przed laty sześciu, gdy grom po gromie uderzał w ognisko domowe, ugięła się cieleśnie pod ciężkim krzyżem. Sparaliżowana, legła na łożu boleści bezwładnie i pozbawioną została mowy. Lekarze zwątpili o jej wyzdrowieniu, przez cztery lata niepodnosiła się z łóżka; potem dopiero zaczęła wstawać, umysł nabierał coraz większej poczytalności. Oprócz Imienia Boga wymawiała już kilka wyrazów. Później zaczęła o własnej mocy posuwać się po domu i ogródku a jakkolwiek stan jej był nieustannie zastrważający i smutny, ś. p. Helena czuła się szczęśliwą i ani jednem słowem znowu, ani razu jednego nienarzekała, i przeciwnie — ile razy czuła się słabszą dodawała odwagi mężowi i dzieciom. Po modlitwie ciekawość jej zwróconą była na dolę Ojczyzny. Każdy promyk nadziei lepszej przyszłości rozpromieniał jej oblicze i wznosił oczy ku Bogu. Chociaż z matki piersi wyssała gościność staropolską, to jednak brat tułacz lub siostra byli najmilsi pod dachem. Z nimi dzieliła się ostatnim kęsem i uważała jako własnych członków rodziny. Pomimo tak ciężkiego kalectwa, władając tylko lewą ręką, była nieustannie czynną i to głównie w kierunku, aby wątłemi siłami jakąkolwiek przyjemność sprawić towarzyszowi żywota lub dzieciom.

W ostatnim peryodzie żywota, jakby przeczuwała bliski skon, potęgowała się jej ciekawość o dolę Ojczyzny a czułość dla rodziny objawiała się coraz silniej. Niestety dnia 25. maja nowy atak apoplektyczny zagroził jej żywociu. Srodki ratunku ludzkiego pokazały się bezskuteczne. Dnia 28. rano gdy pierwsze promienie słońca zabłysły, zakończyła żywot męczeński ta szlachetna Polka, żona i matka, której żadne nieszczęście nie zdołało dsłabić w duszy wiary w Boga i miłość ojczyzny. — Niech jej ziemia rodzinna lekką będzie!

zgromadzeniach, że u nas nic jeszcze nie jest na czasie, aby wyrwać lud z nędzy, z ciemnoty umysłowej i demoralizacyi pijaństwem rozwielmożnionej, a nikt nieośmieli się publicznie ogłaszać takiej odpowiedzi potomkowi niegdyś zasłużonych Ojczyźnie mężów.

Prawda jak to mówią, zawsze kole w oczy, lecz czy przez to miałaby ona być u nas w Polsce, stuletnią niewolą trawionéj, także jeszcze nie na czasie i czy mamy nazywać pismem rewolwerowem takie pismo, które w swych szpaltach umieszcza ową prawdę niemiłą naszym wielkościom, a która zarazem wywołuje nieraz rumieniec wstydu na oblicza zarażonych utylitaryzmem i powtarzaniem, jako za wyrocznią, zdania wypowiedziane przez osobistości chcące w kraju przewodniczyć i narzucające się społeczeństwu z swą opieką dla tego jedynie, że one pochodzą od ludzi noszących historyczne nazwiska dawniej zasłużone Ojczyźnie, lub dla tego, że posiadają w swych rękach cielca złotego, któremu społeczeństwo walczące o byt tak niskie bije zawsze pokłony.

Kończąc na tem tę odprawę daną Ks. Ad. Sapieże z całego serca wołam — zakładajmy kółka włościańskie, pracujmy z ludem uczciwie i bezinteresownie, a bracia nasi Rusini pokochają nas i uwierzą, że pragniemy zgody na podstawie miłości bliźniego i że dążymy do Wolności, jako równi z równymi i Wolni z Wolnymi.

Piszę się Szanowna Redakcyo „Strażnicy Polskiej“ usque ad finem Twoim sługą zawsze i solidarnie, gdzie chodzi o utrzymanie z godnością sztandaru tysiącletnią świetną przeszłość mającego.

Ludwik Żychliński.

Z Rady miasta.

Niezawsze, ale często jednak prawda w końcu zwycięża. Któż się naprzykład od dwu lat nienaczytał do przesytu w Timesach nadpełtwiańskich, jak takowe czyniąc zadosyć swym stronnictwom politycznym, niewybierały w środkach, aby tak zwaną „Łączność i Zgodę“ zchydzać i poniewierać w najohydniejszy sposób. Co tylko bezczelność „gazetników“ z „Dz. pol.“ i „Gaz. nar.“ wymyśleć mogła, wszystko to było na porządku dziennym a opinia publiczna była do tego stopnia okłamywaną i bałamuconą, że stronnictwo Łączności i Zgody, uważano za klikę wstecznego kołtuństwa pod kierownictwem kilku ludzi złej woli. Tych szczególniej obrzucano pianą wścieklizny i podsuwano wzzelkiego rodzaju niemoralność. Doszło tak daleko, że mianowicie Dr. Teofil Ciesielski prof uniw. i prof. politech. Józef Jägerman piętnowani byli jako pariasy, a chociaż w rękawiczkach, niemoralna kohorta dziennikarska, pomawiała ich o infamią, usiłując w ten sposób zmusić wytrwałych bojowników za sprawę dobra miasta i moralność społeczną do ustąpienia z Rady. Sprawa ta nie udała się jednak. Łączność i Zgoda chociaż w znaeznej mniejszości i przy nieustającej dezercyi mniej odważnych i słabszych na duchu, zwyciężała nieustannie, gdyż wszelkie porywy i stawianie wniosków przez większość, nieprzechodziły pod głosowanie z obawy, aby w jawnym i wyraźnym proteście nie demaskowano kliki, która bałamuciła większość. Klika doprowadziła jedynie do tego tryumfu, że profesor Józef Jägerman niezłamany moral nie uległ prawom fizycznym i zachorował niebezpiecznie. W to graj takiej klice — sam Dr. Ciesielski niebędzie przecież tym tytanem, któregoby zwalczyć niemożna; a co jeden to nie dwóch. A więc hajże do szturmu na Radę z pożyczką milionów i dopuki Jägerman obłożnie chory, ostateczną rozprawę, przygotowanych przez znakomitych ekonomistów etc. wprowadzić na najbliższe posiedzenie i jednym zamachem uchwalić. Bank p. Edwarda Simona, był już „szlagfertig“ i najzupełniej przygotowany do finansowania pożyczki. JWny Prezydent, w którego wmówiono, że jest jego świętym obowiązkiem obywatelskim ukoronować trzechlecie prezydentury przez zaciagnięciu pożyczki kilku milionów, był również niezawodnie przekonany, że dokona znakomitego dzieła. Wstawiono nawet rozprawę pożyczkową od miesiąca na porządek dzienny bo obliczono matematycznie że dekompletowanie ze strony „Łączności i Zgody“, nieuczyni szkody ani uszczerbku; a więc do uchwały.

W drugim akcie jednak decydującym pokazało się, że w Radzie miasta jest jeszcze dostateczna liczba uczciwych obywateli, którzy jakkolwiek nie we wszystkiem się zgadzali z zapatrywaniami stronnictwa Łączności i Zgody, mają jednak na tyle sumienia iż niechcą przyłożyć ręki aby w obecnych warunkach w jakich się cała machina magistracka znajduje, obarczyć stolicę kraju pożyczką milionową, jedynie w tym celu, aby zostały roztrwonione; a jedyną korzyść odniósł bank finansujący i jego polityczni przyjaciele. Otóż ci pp. radni, którzy nie mieli zamiaru łapania ryb w mętnej wodzie a z drugiej strony nie chcąc się narażać na borby, zastosowali bardzo praktyczny środek, nieprzychodząc na posiedzenia, uniemożebniając przez to wszelkie rozprawy pożyczkowe i uchwały. Swietne Prezydyum znalazło się z tego powodu w nader trudnem położeniu, albowiem rzecz niesłychana, tak zamknięcie rachunków funduszu gminy za r. 1880 jakoteż budżety na r. 1882 dotychczas nie przyszły do skutku; — a to skandal który mógł nareszcie doprowadzić obywateli Lwowa do niecierpliwości. Cóż jednak robić? — wszelkie kurendy i prywatne zaklęcia, aby pp. radni zbierali się na posiedzenia, nic nie skutkowały; przeciwnie, każdy umykał i chował się z obawy pożyczki. Dopiero przyszło aż do użycia powagi p. wiceprezydenta Wacława Dąbrowskiego, który solennie oświadczył i poręczał słowem, że jedynie uchwała budżetu i zamknięcie rachunków przyjdą na porządek dzienny a o pożyczce nie będzie mowy. Dopiero po takiem poręczeniu zebrała się Rada w potrzebnym komplecie i przystąpiła do spraw budżetowych, o których podamy obszerne sprawozdanie. Na posiedzeniu tem zaznaczyć musimy widoczny zwrot znacznej części członków Rady ku wnioskom stronnictwa Łączności i Zgody, a któreto wnioski dotąd były odrzucane lub wyśmiewane. I tak: na wniosek *Dr. Teofila Ciesielskiego uchwaliła Rada polecić Magistratowi, sprzedaż wszystkich papierów wartościowych, należących do funduszu żelaznego gminy, celem założenia banku zastawniczego.*

Za uchwałę tę należy się Swietnej Radzie najwyższe uznanie obywateli miasta, gdyż krok ten poskromi niecne wyzyskiwania Banku zastawniczego, który ma swą siedzibę w gmachu Skarbkowskim i innych.

Zaszedł jednak fakt jeszcze ciekawszy, mianowicie dla tych, którzy uczęszczają na posiedzenia Rady. Oto Dr. Czyżewicz dotąd wytrwały przeciwnik Dra Ciesielskiego, poszedł jedną drogą z nim, wytykając Magistratowi nieprawidłowe połączone z nadużyciami egzekucye opłat miejskich i domagali się usunięcia tych nadużyć.

Dezercya ze stronnictwa pożyczkowego jest nieustająca. Być może, że pragnący zaciągnięcia kilku milionów próbować będą jeszcze szczęścia, ale czy zachcianki te uwieńczy skutek, temu śmiemy już dziś stanowczo zaprzeczyć. Miasto zaciągnie pożyczkę a w razie potrzebnym nawet kilka miljonów, lecz dopiero wtenczas, gdy reprezentanci jego będą mieli pewność, że nie zostaną roztrwonione, tylko użyte rzeczywiście na podniesienie stolicy kraju. Przedewszystkiem byłoby już na czasie popracowanie nad zestawieniem listy kandydatów do przyszłej Rady a mianowicie wynalezienie nowego prezydenta, który oprócz uczciwości, umiałby żelazną ręką ująć ster władzy magistratualnej.

KRONIKA.

„Boże zapłać!“

Gdy Bogu Wszechmocnemu podobało się okryć mnie wraz z dziećmi ciężką żałobą, zabierając do Chwały Swojej najwierniejszą towarzyszkę żywota i najzacniejszą matkę dzieci moich po ciężkiej sześcioletniej chorobie i mękach, przyciśnięci zostaliśmy wielkim bolem duszy, po tej dla nas niczem niedającej się wynagrodzić stracie. Równocześnie jednak nauczyliśmy się wierzyć i cenić, jeżeli ktoś kończy poczciwy żywot na rodzinnej ziemi wśród bratnich dusz, a nie powoduje nami ani zarozumienie lub inna niewłaściwa pobudka; jeżeli oznaki współczucia prawie ze wszystkich stron ziem polskich tak licznie odbieramy, takowe są zarazem uznaniem tego, co się w żywocie robi. Bo jakkolwiek ś. p. Helena umiała sobie wszędzie zaskarbić miłość i szacunek, to jednak żywot jej był zanadto skromny i cichy, aby takiej pogrobowej czci można się było spodziewać.

Jakaż to okropna chwila, gdy rodzina złamana żalem i rozpaczą, odprowadza zwłoki drogiej istoty do ostatecznego spoczynku, a szczególniej wtenczas, gdy nawet w społeczeństwie czuje się osieroconą. Z łatwością każdy odczuje ten balsam, jakiego nam bratnie dusze tak szczodrze udzieliły w tym dniu wielkiego smutku. Gdy nas poprostu niestać było, pomimo najszczerszych chęci na wystawę pogrzebową i zaledwie kilku kapłanów ośmieliliśmy się zaprosić do odprowadzenia zwłok na wieczny odpoczynek, jakież uczucie opanowało dusze nasze, gdy o godzinie przeznaczonej na pochód pojawił się w domu żałoby jeden zastęp duchowieństwa po drugim. Jakaż wiara w przyszłość zaczęła się budzić w sercach, gdy kapłani wszystkich trzech obrządków katolickich: łacińskiego, greckiego, i ormiańskiego przyszli, aby oddać ostatnią posługę śp. Helenie. Że konwent OO. Bernardynów, którego członków zaliczamy do naszych osobistych przyjaciół, był obecny, to nie było niespodzianką, boć to już znanem jest powszechnie, jak jest skorym i chętnym w oddawaniu tego rodzaju posług duchownych. A prawie tak samo niezdziwiło nas przybycie OO. Dominikanów i Przewielebnych Kanoników z katedry ormiańskiej, oraz innych Księży unickich wygnańców i łacinników, z którymi nas wiążą blizkie stosunki.

Trudno jednak było nie uchylić czoła, gdy oczy nasze ujrzały całe liczne Seminaryum grecko-katolickie i z duchowieństwem na czele, któremu przewodniczył tak Szanowny kapłan jak ksiądz kanonik Dolnicki.

Cóż to za objaw? — przecież nie sen ale na jawie. Dotknięty ciężką żałobą redaktor „Sztandaru polskiego“ i „Strażnicy polskiej“, który z całą siłą ducha walczy nieustannie z Moskwą i caryzmem; chowa do grobu towarzyszkę żywota takiej samej wiary w Boga i Ojczyznę polską jak on; i patrzcie. Oto ci Bracia Rusini, których zła wola usiłuje prawie wszystkich posądzać o miłość do cara północy i szyzmy, nie wahają się ani chwili, aby zbiorowo w tak wielce poważnem i imponującem gronie podążyć dla objawu współczucia, śmiertelnemu wrogowi Moskwy i cara północy.

I cóż ten zastęp sług Bożych do tego spowodowało? Oto nic innego, jak tylko to, że ze „Sztandaru polskiego“ i „Strażnicy polskiej“ odezwały sią głosy sprawiedliwości i stanęły w obronie praw Braci Rusinów, tak jak Bóg i przyszłość Ojczyzny polskiej nakazuje.

O dzięki Wam! dzięki! serdeczni Bracia Rusini, że tym objawem zadaliście kłam oszczerstwom i przekonali, że nie każde serce ruskie, nie każdą duszę dotknęła zaraza gangreny carskiej! Bo kto się nie wahał uczuć swoich w ten sposób objawić, ten zaiste ma prawo nazywać się Rusinem i stać na straży z rozwiniętym sztandarem w ręku dla bezpieczeństwa narodu ruskiego.

Bóg Wam zapłać bracia za ten czyn szlachetny, który nas nad grobem ś. p. Heleny połączył, która nie umiała czynić różnicy pomiędzy Polakiem a Rusinem!

Bóg Wam zapłać za te pienia, które nas tak do głębi duszy rozrzewniały!

Bóg zapłać Ci, Szanowny księże kaznodziejo Olszewski, któryś podążył aby nad grobem przemówić słowa pociechy.

Bóg Ci zapłać, liczna rzeszo przyjaciół i rodaków, coście tak chętnie i z dobrej woli wzięli udział w naszym smutku.

Bóg zapłać wszystkim, co się z nami duchem i życzliwością złączyli.

Lwów dn. 3 czerwca 1882.

Jan Nepomucen z Oleksowa Gniewosz
z córką *Elżbietą*
i synami *Janem i Maryanem.*

Komitet wystawy rolniczo-przemysłowej zawiadamia P. T. rolników, którzy swe ziemiopłody na wystawę zgłosili lub zgłosić jeszcze zamyślają, że według §. 12go programu tejże wystawy — próbki zboża i roślin okopowych mają wynosić $^{1}/_{4}$ hektolitra, zaś nasion olejnych i pastewnych $^{1}/_{10}$ hektolitra — niemniej, że wystawa drobiu i królików odbędzie się równocześnie z wystawą koni, to jest od dnia 31. Sierpnia do 4 Września.

Festyn. Zarząd towarzystwa wzajemnej pomocy samoistnych drobnych rękodzielników i przemysłowców zbiera fanty w celu urządzenia loteryi fantowej, która się odbędzie w połączeniu z festynem na górze zamkowej dnia 11. czerwca. Dochód przeznaczony w połowie na cele towarzystwa, w połowie na rzecz pozostałej po ś. p. jenerale Jeziorańskim wdowy i małoletniej córki. Sądzimy że piękne cele loteryi zdobędą sobie licznych dawców odpowiednich przedmiotów a festyn ściągnie jak najliczniejszą publiczność. Fanty można odsełać na ręce Waleryana Dworskiego ulica Łyczakowska l. 10.

Opieka Jezuicka. Przed kilku tygodniami młoda dziewczyna około lat 16 licząca a która jako sierota wychowuje się przy zamężnej rodzonej siostrze, udała się do spowiedzi do kościoła OO. Jezuitów. Gorliwy spowiednik wysłuchawszy grzechów penitentki zaczął takową wypytywać o stosunki rodzinne i sposób życia. Penitentka zeznała że opiekuje się nią rodzona siostra i szwagier, którzy tu we Lwowie posiadają handelek wiktuałów czyli po lwowsku „grajzleraj“ — wraz z małym szynkiem. Ojciec spowiednik okropnie był przerażony tą wiadomością i przedstawił dziewczynie w nader drastycznych kolorach niebezpieczeństwo zatracenia duszy, jeżeli nadal pozostawać będzie przy siostrze i szwagrze, którzy się trudnią handlem i szynkiem. Oświadczył równocześnie, że jej rozgrzeszenia dać niemoże i polecił o godzinie pierwszej w południe, przyjść do kościoła, że jej wtenczas da odpowiednie umieszczenie; a zanim to uczyni, niemoże jej dać rozgrzeszenia. Dziewczyna zrozpaczona odeszła od konfesyonału a kochając siostrę, jako najlepszą opiekunkę, niemogła się oswoić z myślą aby dom jej opuścić bez żadnych przyczyn, tylko z powodu żądania ojca spowiednika. Niechciała również tak postąpić aby się wydalić potajemnie, a więc przed siostrą i szwagrem cały fakt opowiedziała; naturalnie, że ci uważając tego rodzaju opiekę OO. Jezuitów za zbyteczną, odwrócili wychowankę od pójścia do OO. Jezu-

itów o godz. 1. w południe, gdy kościół zamknięty, a tylko do zakrystyi wchodzi się z ubocza. Dziewczyna nie poszła już do spowiedzi ani do komunii. — Takie praktyki odbywają się codziennie i niejeden węzeł ogniska rodzinnego został już przez OO. Jezuitów rozerwany, niejeden żywot zwichnięty a dusza osłabiona w dogmatach wiary. Cóż łatwiejszego, jeżeli w ten sposób zamiast zbliżania do kościoła i wzmacniania w wierze ojców, wynika skutek przeciwny i przysposabia grunt do bezwyznaniowości.

Ruskie „Diło" z dnia 31. Maja donosi ze Skałackiego o fakcie, o którym z innego wiarygodnego źródła otrzymaliśmy także korespondencyę podobnej treści. Oto co pisze „Diło", jak Jezuici pracują nad zgodą Polaków i Rusinów:

„Jezuickie misye przynoszą już swe owoce: niezgodę między Rusinami a łacinnikami. W jednej wsi żyli dotąd wierni obu obrządków w najpiękniejszej zgodzie; razem przystępywali do bractwa wstrzemięźliwości, razem składali się na budowę nowej murowanej cerkwi, bez różnicy obrządku chodzili do swej cerkwi i bez różnicy obrządku posyłali konie do drugiej wsi po księdza, słowem, tak w sprawach cerkiewnych jak i gromadzkich szli wierni obu obrządków ręka w rękę. Dotąd była zgoda i miłość bratnia we wsi, póki nie zagościli Jezuici ze swemi misyami. Po misyi zawiał całkiem inny duch. Kiedy niedawno przyszło do wyborów rady gminnéj, stanęli już wieśniacy łacińskiego obrządku wrogim taborem przeciw swym braciom i sąsiadom greckiego obrządku. Kmieci kreckiego obrządku wybrano tylko trzech; ci wnieśli rekurs, który przyjęto. Powtórny wybór wypadł już korzystniej dla gromady greckiego obrządku. Takie same rozterki pojawiły się i w sprawach cerkiewnych; łacinnicy oddzielają się od bractwa cerkiewnego, nie chcą posyłać koni po księdza etc. To jeden obrazek następstwa jezuickich misyi. Konsystorz wydał wprawdzie okólnik, aby ruskie duchowieństwo skarzyło się przed ordynatem, jeżeliby doznało jakiej krzywdy, ale to nie jest wcale środkiem zaradczym, bo wiadomo, iż Jezuita nie występuje jawnie w kazaniach, lecz tajnie, mianowicie przy spowiedzi".

„Spójnia" Donoszą o nowych wyborach zarządu „Spójni" zapomnieliśmy jeszcze o jednym członku, którego na to ważne stanowisko wybrano a jest nim p. Henryk Rewakowicz, członek redakcyi „Dz. pol." czyli exnotaryalnego organu. Niewiedzieliśmy nic dotąd o jego zdolnościach przemysłowo-handlowo-ekonomicznych z wyjątkiem jego poglądów na odświeżenie krwi naszego społeczeństwa polskiego, na udoskonalenie rasy przez domieszkę krwi semickiej. W tym kierunku, jeżeli p. H. Rewakowiczowi oddany zostanie specyalny dział w zarządzie „Spójni" być może, że stanie się „użyteczną siłą".

Że pisząc o wyborach „Spójni" przewidywaliśmy z góry, iż tam osobiste interesa będą celem niektórych członków zarządu; rzecz ta już teraz nabywa większej pewności. Oto sprawa podniesienia przemysłu tkactwa krajowego, zajmuje słusznie wielu, którzy usiłują podnieść przemysł domowy w kraju. Lecz jak w każdym innym wypadku, tak i w tym, zanadto mało jest wybranych, którzy się oddali gruntownemu zbadaniu tkactwa w Galicyi. Zjawił się niby specyalista, lecz ten oprócz przepisania niektórych statystycznych dat i kompilacyj teoretycznych frazesów, nie posunął się dalej ani na krok. Ale na co mu tego trudu, jeżeli wie, że w Galicyi aby zostać znakomitością i specyalistą, potrzeba tylko sprytu.

Ktokolwiek obeznany z warunkami tkactwa krajowego, ten wie, że urządzenie blichów, magli i apretury stanowi najgłówniejszy warunek, który tkactwo może podnieść. Dotychczas tkacz galicyjski zmuszony jest każdą sztukę płótna, lub innej tkaniny posyłać aż na Szlązk do Frydku do apretury, przez co podnoszą się ogromnie koszta. Zakłady takie, aby rzeczywiście wypadły na korzyść producenta, powinny się znajdować o ile możności w bezpośredniej styczności z koloniami tkackiemi. Nasze domorosłe znakomitości i specyaliści inaczej jednak tę rzecz pojmują. Im nieidzie o podniesienie przemysłu tkackiego, ale o wydrapanie się na dyrektorstwo takiej apretury, któryto obowiązek możnaby dodatkowo spełniać jako poboczny zarobek przy innem urzędowaniu n. b. poświęcać się za wynagrodzeniem kilku tysięcy złr. rocznie Aby cel ten osiągnąć, ma ktoś postawić w zarządzie „Spójni" wniosek, aby do Wydziału kraj. i w ogóle, gdzie należy, wnieść jego memoryał, który dąży do niczego więcej, jak tylko do tego aby zakład apretury tkackiej urządzony był pod samym Lwowem, a tkacze z Koczyny, Dębowca, Błażowej etc. aż tu przysyłali tkaniny do blichu, magli i apretury. Czy ktoś niedziałający rozmyślnie w złej woli lub niebędący kandydatem do Kulparkowa, mógłby się zdobyć na podobny projekt, nieśmielibyśmy twierdzić. Sąto jednak pierwsze szydła wzajemnej adoracyi i przyjaciół politycznych, które z worka zarządu „Spójni" wychodzą. Czy w takich warunkach może tak rzeczywiście potrzebne stowarzyszenie istnieć i oddać usługi krajowi?!

Dla wiadomości udających się do Cieplic czeskich. Donoszą nam, iż tamże Dr. Władysław Krajewski który stale w Cieplicach zamieszkuje (Teplitz-Schönau, villa „Polonia") spełnia znakomicie obowiązki lekarza, ale dla wszystkich przybywających rodaków jest on takim opiekunem, dla którego brak wyrazów wdzięczności i uznania. Szczególniej dla mniej zamożnych jest serdecznym bratem; gdzie się tylko okaże potrzeba, dąży nietylko z lekarstwem ale i inną pomocą. Nie jest to pierwsza korespondencya jaką odbieramy obecnie, bo od kilku lat mieliśmy nieraz sposobność słyszenia z ust pacyentów powracających z Cieplic, którym brakowało słów do wyrażenia wdzięczności, do zcharakteryzowania tego wielce szlachetnego rodaka. Radzimy więc szczerze każdemu, kto się wybiera do Cieplic czeskich, udawać się do Dra Wł. Krajewskiego.

Dla przestrogi pp. dziennikarzy jak ostrożnie powinni przyjmować korespondencye niech posłużą dwie następujące w jednej sprawie, które wyjmujemy z „Głosu Stanisławowskiego":

Buczacz 6. Maja.

Po ukonstytuowaniu Rady miejskiej i Zarządu gminnego przeszłego roku w listopadzie., wybrano znowu na burmistrza p. Brn. Sterna, któremu zawdzięczamy wiele już zaprowadzonych rzeczy w Buczaczu. Przedewszystkiem ustanowienie godzin urzędowych w Magistracie i uporządkowanie gminnej administracyi. Uzyskano na lat sześć pobór dodatku do podatku konsumcyjnego, który tworzy największą rubrykę dochodów gminnych a nie jest tak uciążliwy dla mieszkańców jak dodatek do podatków bezpośrednich. Nadto uzyskano prawo poboru targowego i straganowego, który wydzierżawiony 1400 zł. rocznie przynosi. Dnie jarmarczne, w celu podniesienia handlu, 12 jest ich w roku, są uwolnione od opłaty targowego i straganowego. Zaprowadzono na mocy ustawy Sejmowej z r. 1875. urząd rozjemczy dla jednania stron w sporze do wysokości 300 zł. będących. Zwierzchność gminna przeprowadziła fundacyę pożyczkowej kasy miasta Buczacza, z funduszów ściąganych karami w kwocie 1.200 złr. W tej sprawie burmistrz walkę staczać musiał z Wyd. Rady powiatowej, która pragnęła mieć kasę powiatową, gdy tym czasem udowodniono że fundusze ściągnięte w gminie, tylko do gminy należą. W tym celu uzyskał burmistrz pożyczkę 3.000 zł. w Kasie Oszczęd. we Lwowie na 3% na lat 15. Obrót kasowy wynosił 1. Stycznia 1882 r. 10.200 zł. fundusz żelazny 5.000 zł. Miasto otrzymało pozwolenie podniesienia na lat 16 opłaty od nafty z 2 na 4 zł. co przynosi dochód 2 000 zł. przeszło rocznie, mający być obrócony na utrzymanie. zaprowadzić się mającego wyższego gimnazyum. Wypłaciła tudzież gmina bądź na lekarstwo dla niezamożnych, bądź na wsparcie 1.279 zł 46 ct. w przeciągu trzech lat ostatnich. Z lat dawnieiszych spłacono tudzież Wydział. kraj 497 zł. 57 ct. kosztów szpitalnych i wypłacono 1. ratę na mający się budować szpital 750 zł.

Co do czynności urzędu budowniczego, ten jest następujący: wystawiono w rynku i na niektórych ulicach głównych chodniki, naprawiono drogi pod Targowicę i na ulicy Wapniarskiej. Wybudowaną została szkoła żeńska 4. klasowa. Frekwencya liczna dowodzi, że potrzeba była konieczna założenia tej szkoły. Nowy most wystawiony został nad Strypą i wyrestaurowano Ratusz nasz stary, historyczny. Oto co w krótkim, rzec można czasie, dokonała zwierzchność gminna i idąc takim torem, miasto nasze coraz bardziej się upiększa.

(A. N.) Buczacz dnia 15. maja. Jak dalece korespondencya z Buczacza datowana 6. maja umieszczona w „Głosie" mija się z prawdą i jak naiwnie pragnie korespondent podnieść zasługi familii Sternów dla naszej gminy położone — niechaj na razie posłużą niektóre fakta, które żadnych komentarzy nie potrzebują. Ponieważ korespondencya podnosi zasługi Zwierzchności gminy jak n. p. wybudowanie szkoły czteroklasowej, wybudowanie mostu nowego na Strypie (to jest położonego w środku miasta) i odrestaurowanie naszego historycznego ratusza — musimy odpowiedzieć że: szkoła wybudowaną była jako domek mieszkalny przez ś. p. Starczewskiego, a zakupioną przez gminę za pożyczone pieniądze na dość znaczny procent, z których dostała się tytułem faktornego pp. vice-burmistrzowi i sekretarzowi gminnemu dość znaczna kwotka; budynek zaś sam jako szkoła panieńska sławi się dobudowaną stajnią na oficerskie konie i niesłychaną wilgocią.

Że most na Strypie nie był dotąd, ale musi być wybudowany w bieżącym roku, za dowód służy zagrożenie p. burmistrzowi karą 20 złr, przez Wydział powiatowy i tablicą postawioną przez Zwierzchność gminną z następującym napisem: „*Przejazd przez most z ciężarami z przyczyny grożącego niebezpieczeństwa się zakazuje pod karą 10 złr. w.* a.

Że nakoniec „nasz stary historyczny ratusz" jest własnością hrabiów Potockich i tychże znacznym nakładem został po pogorzeli w r. 1865 odrestaurowany według pierwotnego planu, o tem wie każden człowiek w kraju, którego zabytki pięknej architektury cokolwiek interesować mogą.

Przemilczamy na razie innych wiele rzeczy, których p. Stern jako burmistrz dopuścił się w naszem mieście w bardzo, rzec można, krótkim czasie; podniesiemy jedynie gołosłowne polecenie Wydziału powiatowego tak do Zwierzchności gminy, Inżyniera okręgowego dróg krajowych, jak i do c. k. Starostwa, które to ochotnie przytoczymy: „Droga krajowa, stanowiąca główną ulicę miasta Buczacza, nie dość że jest w kilku miejscach nieproporcyonalnie zwężoną — ale, czego dawniej nie bywało, jest w najwyższym stopniu pod względem policyjnym zaniedbaną. Ścieki i przepusty nie są czyszczone od wiosny zeszłego roku, zarzucone śmieciem wszelakiego rodzaju i zawalone drzewem opałowem, pakami lub paszą. Stragany, stoły i stołki ustawione na samej drodze krajowej lub bocznych tejże chodnikach; fury ładowne towarami i drzewem popasające z całą swobodą dniami i nocami swe konie, wreszcie grupy rozlicznego zawodu handlarzy i tragarzy wyprawiające z właściwą sobie arogancyą ciągłe kłótnie, bitki i kradzieże — tamują często całemi kwadransami przejazd a nawet i przejścia pieszym. A jeżeli się doda, że obecnie wchodzi w życie rąbanie drzewa wzdłuż tej ulicy, zaś przedsiębiorca dostawy szutru składa kamień w miejscach gdzie sam uznaje za stosowne, że wóz pocztowy parokonny stoi przez cały dzień, a wozy osobowe po parę godzin dziennie drogę tę krajową zastępują — z drugiej strony, jeżeli zamiast raz we Czwartek praktykują się teraz targi 4 razy tygodniowo — to każdy najobojętniejszy czy to miejscowy czy zamiejscowy, słusznie sarka na ów nieład jaki na głównej ulicy Buczacza, a właściwie na drodze krajowej panuje, szczególniej zaś w obec nielicznej i niedołężnie zorganizowanej policyi miejskiej, która w części tylko jest umundurowaną (dwóch policyantów używa chałatów) i często czynnie znieważaną podczas swych czynności przez obywateli Mojżeszowego wyznania bezkarnie, gdyż pan Burmistrz jakby rozmyślnie sług policyjnych nie zaprzysięga, zaś p. rewizora, czyli komendanta policyi miejskiej, używa najwięcej jako pisarza lub kasyera itd. Z Wydziału powiatowego Buczacz 18. marca 1882 r. L. 266. Odezwa. Udzielamy Świetnemu ck. Starostwu powiatowemu w Buczaczu, do wiadomości z uprzejmą prosbą o łaskawe polecie c. k. Żandarmeryi by nad porządkiem w mieście i nad łatwością komunikacyi na drodze krajowej przez miasto wiodącej czuwała".

Tyle słów jednego w imieniu wielu w smutku pogrążonych a zamieszkujących cudne miasto Buczacz.

Panu F. Opuchlakowi właścicielowi zakładu pogrzebowego pod nazwą „Concordia" składamy niniejszem nietylko uznanie ale serdeczne podziękowanie za niezwykłą troskliwość i względność, jakich nam złożył dowody, zajmując się pogrzebem śp. z Groblewskich Gniewoszowej.

Lwów dnia 3 Czerwca 1882.

J. N. z Oleksowa Gniewosz,
Elżbieta, córka;
Jan i Maryan, synowie.

Od Administracyi.

Wszystkie należytości i zaległości tak z prowincyi jak i miejscowe, prosimy przysyłać za przekazem pod adresem:

Do Administracyi Sztandaru polskiego (lub Strażnicy polskiej), na ręce pana Szczęsnego Bednarskiego, w drukarni p. Anny Wajdowiczowej, Rynek l. 9. we Lwowie.

☞ Kto nie życzy sobie pism naszych nadal prenumerować, raczy numer ten zwrócić.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **J. N. z Oleksowa Gniewosz.** Z drukarni Anny Wajdowiczowej (pt. Poremby), Rynek l. 9,

Pod zarządem Szczęsnego Bednarskiego.